WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 51 (429)
20 grudnia 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Towarzystwo Przyjaciół Regionu Lasowiackiego w Stalowej Woli zorganizowało w listopadzie br. sesję popularnonaukową poświęconą twórczości nie żyjącego już pisarza Jana Wiktora. Jak wiadomo, Jan Wiktor był silnie związany uczuciowo z Rzeszowszczyzną, urodził się w Radomyślu nad Sanem, uczęszczał do gimnazjum w Dębicy i później często odwiedzał aż do śmierci swoje strony rodzinne. W czasie sesji po raz pierwszy udostępniono zebranym kilka nieznanych listów pisarza kierowanych w ostatnim 10-leciu jego życia do Radomyśla i Stalowej Woli. Redakcja „Widnokręgu" otrzymała te listy do publikacji w odpisach na maszynie, w opracowaniu mgr Ryszarda Wójtowicza, członka Towarzystwa. Ogłaszamy je w całości lub w obszernych fragmentach.

NIEZNANE LISTY JANA WIKTORA

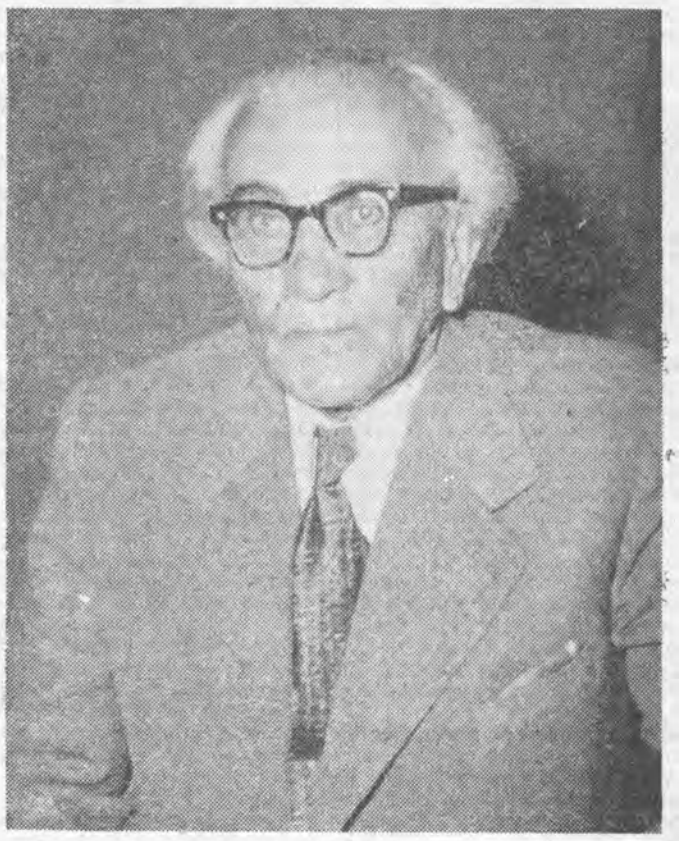

Listy Jana Wiktora, pisane do p. Marii Kłos w latach 1948—1966, udostępnione szerszemu ogółowi po raz pierwszy w dniu 8 listopada 1969 r. na sesji naukowej poświęconej życiu i twórczości tego pisarza, zorganizowanej z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Regionu Lasowiackiego w Stalowej Woli. Adresatka — długoletnia nauczycielka języka polskiego w szkołach podstawowych w Radomyślu i w Stalowej Woli jest obecnie na emeryturze. Często, przy różnych okazjach wspomina przyjaźń łączącą ją z Janem Wiktorem. Autor „Orki na ugorze" wysoko cenił Marię Kłos, odnosił się do niej z szacunkiem i darzył ją zaufaniem.

Wspomniane listy są cennym przyczynkiem do poznania Jana Wiktora jako szlachetnego człowieka, wrażliwego pisarza i ofiarnego społecznika. Mimo, iż listów jest tylko kilka, znalazło w nich odzwierciedlenie wiele spraw i zagadnień związanych z życiem, pracą i działalnością pisarza.

Jest ich zbyt mało, by można na ich podstawie nakreślić dokładny, wnikliwy portret Jana Wiktora, lecz wystarczająco dużo, aby wyrobić sobie sąd o tym człowieku. W paru listach, ze względu na zawód adresatki, pisarz wyrażał uznanie dla twórczej, pięknej pracy nauczycielskiej. Nic dziwnego — sam też czuł się nauczycielem — wychowawcą. Interesował się pracą pedagogów i jej rezultatami, m. in. napisał: „Praca nauczycielska — owocna, szlachetna, pełna miłości człowieka, narodu, Polski"[1].

Jan Wiktor był wiernym, serdecznym, wypróbowanym przyjacielem dzieci. Zdolnym starał się zapewnić możliwość pobierania nauki, ufundował nawet specjalne stypendium, deklarował chęć pokrycia kosztów uczestnictwa w wycieczce niezamożnym dzieciom. Zadziwiająco poważnie traktował swoich młodych czytelników i korespondentów. Nieobce mu było poczucie humoru, o czym świadczy dowcipna uwaga na temat błędu ortograficznego spotkanego w liście dzieci.

W listach Jana Wiktora przejawia się zainteresowanie rodzinną miejscowością i ludźmi w niej mieszkającymi. Ubolewał nad upadkiem Radomyśla i pragnął w jakiś sposób przyczynić się do rozwoju miasteczka, z którego pochodził, jednak, niestety, radomyślanie nie kwapili się do nawiązania kontaktu z pisarzem. Wiele pisał o stronach rodzinnych. Publikacje na te tematy zamieszczał m. in. w czasopismach przeznaczonych dla Polaków mieszkających poza granicami Polski

Z Radomyślem czuł się związany na zawsze, o czym świadczy fragment jednego listu o fotografiach wiszących nad jego biurkiem i wzruszająca prośba sędziwego pisarza: „Może ktoś przyśle mi kiść zboża z pola radomyskiego i kiść kwitnącego wrzosu"[2]. Skarżył się, że prawie nikt z Radomyśla nie pamięta o nim, że nie otrzymuje stamtąd listów. Rozrzewniają jego słowa, które brzmią jak testament: „Natomiast nakazuję, aby — gdy czas nadejdzie — pochowali mnie na „Zjawieniu". Tam ostatni spoczynek wśród swoich i drogich. To wzgórze zawsze mi drogie i bardzo wielu węzłami zespolone z moim życiem, które przechodziło różne koleje"[3].

Omawiane listy Jana Wiktora są w pewnym sensie autokomentarzem do jego utworów; wyraża w nich własne poglądy na temat literatury, zdradza tajemnice swojego warsztatu twórczego. Pochodzą one z ostatnich dziesięciu lat życia pisarza. Znajduje się w nich sporo uwag człowieka, który w życiu wiele przeżył i przeszedł. „Mój wiek niesie też wiele radości i obdarza swoimi rozkoszami. Trzeba tylko patrzeć z pobłażaniem i wyrozumiałością. Też w młodości burzyłem się, buntowałem, a teraz bunt ucichł. Oby tylko w zdrowiu i spokoju przeżyć resztki dni. Nie odmienię świata, nie wpłynę na rozwój jego"[4].

Dziwnie pesymistycznie brzmi to ostatnie zdanie przytoczone z jednego z listów autora: „Papieża i buntownika", pisarza, którego w zasadzie cała twórczość miała służyć przeobrażeniu człowieka i otaczającej go rzeczywistości.

Opublikowanie udostępnionych przez p. Marię Kłos listów Jana Wiktora przyczyni się niewątpliwie do pogłębienia wiedzy o wybitnym pisarzu, którego bogata, zrodzona z umiłowania człowieka twórczość stanowi własność całego narodu.

RYSZARD WOJTOWICZ

---

[1] list z dnia 21 XII 1963 r.
[2] list z dnia 31 VIII 1965 r.
[3] list z dnia 17 IX 1964 r.
[4] list z dnia 17 IX 1964 r.

PANNO MARYSIU!

List od dzieci z Radomyśla przyszedł wtedy, kiedy bawiłem w Pradze. Po powrocie chorzałem i tak jakoś wyciekło z pamięci, żem zapomniał odpowiedzieć i podziękować. Teraz mam wyrzuty sumienia. Gorąco przepraszam. Sądziłem, że przybędzie do Krakowa wycieczka szkolna — która minionego roku nie doszła do skutku. Chciałem ponieść koszty całkowite za 5 uczestników. I proszę to mieć w pamięci, że ponoszę koszta za pięcioro uczestników —czy uczestniczek, oczywista takich, którzy zasługują, a nie mogą sobie pozwolić bez względu na to, czy pochodzą z Radomyśla, Nowin, czy Żabna. List głęboko mnie wzruszył (Nie chcę zastanawiać się, ile w tym liście Pani treści — poza jednym błędem ortograficznym — co kładę na karb uczniów) Myślałem, że przed zakończeniem roku wyjdzie mała książeczka dla młodzieży, którą chciałem posłać — niestety — nastąpiła zwłoka.

Jeszcze raz przepraszam, dziękuję i łączę piękne wyrazy

JAN WIKTOR

Kraków 24/VI 948

PANNO MARYSIU!

Mam prośbę serdeczną. Równocześnie przepraszam, że trudzę, ale nie wiem do kogo się zwrócić w Radomyślu. Przyszło mi na myśl, że Pani byłaby jedyną osobą, która by była pomocną. W niedzielę byłem świadkiem rozmowy bratowej Pani i Hanki o Justynce Kowalik — że jest bardzo zdolną, że chce się uczyć, tylko brak funduszów i że potrzeba 5 tys. zł miesięcznie. Może by Pani była tak dobra i zwróciła się do Tarnobrzega czy przyjęliby ją jeszcze, a jeżeli nie to może by się uczyła prywatnie a zdałaby na półrocze. (Może by pomocny był w tej sprawie Madej — który zawsze okazuje mi wiele przyjaźni). Każdego miesiąca posyłałbym 5 tys. zł — dopóty, dopóki mógłbym, a przypuszczam, że będę mógł.

Jestem w Gdańsku. W piątek wracam do Krakowa i tam proszę uprzejmie o skierowanie listu.

Jeszcze raz przepraszam i łączę wiele bardzo serdecznych wyrazów —

JAN WIKTOR

Gdańsk 22/IX 948

ZACNA PANI MARYSIU!

Bawiąc ostatnio w Radomyślu odwiedziłem Panią, niestety, nie zastałem, a natomiast spotkałem Pani siostrę Andzię, która już była gotowa do wyjazdu. Ta wspominała mi, że Pani przygotowuje odczyt o „Papieżu i buntowniku" — Czy to prawda? Ta wiadomość mocno mnie zaciekawiła.

Fot. J. MENDYCHOWSKI

CIĄG DALSZY NA 8 STR.

O POKÓJ I PRZYJAŹŃ MIĘDZY NARODAMI

Wzrost zbrojenia oraz naprężone stosunki międzynarodowe, grożące lada moment nową wojną zaalarmowały nie tylko obóz państw socjalistycznych, ale również postępową opinię światową, czego dowodem może tu być Międzynarodowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, jaki się odbył w sierpniu 1948 roku we Wrocławiu. Wtedy to właśnie postępowi uczeni, pisarze, artyści i działacze kultury z 45 krajów o różnych ustrojach politycznych zwrócili się z gorącym apelem do całego świata o zachowanie pokoju. Wrocławski Kongres zapoczątkował „Ruch Obrońców Pokoju" na szczeblu ogólnoświatowym. Na I Kongresie Obrońców Pokoju w Paryżu i Pradze (kwiecień 1949 r.) został on ostatecznie ukształtowany i ujęty w pewne ramy organizacyjne i do chwili obecnej kierowany jest przez Światową Radę Pokoju. Słynny Apel Sztokholmski i ogromna ilość zebranych pod nim podpisów, to tylko jedna z wielu form działalności Światowej Rady Pokoju. Bardzo duży wkład do walki o pokój wnoszą również siły postępowe w świecie kapitalistycznym, na których czele stoi klasa robotnicza oraz jej awangarda — partie komunistyczne. One to właśnie walcząc o swoje sprawy socjalno-bytowe przeciwstawiają się również polityce wojennej.

Międzynarodowe Nagrody Pokoju

O efektywnej działalności na rzecz pokoju przyjaźni i zbliżenia między narodami świadczy ilość przyznawanych corocznie przez norweski parlament, Radę Najwyższą ZSRR i Światową Radę Pokoju — Międzynarodowych Nagród Pokoju. Są to: Pokojowa Nagroda Nobla, Międzynarodowa Nagroda Leninowska i Międzynarodowa Nagroda Pokoju. Najstarsza z nich jest pokojowa Nagroda Nobla przyznawana od 1901 roku przez norweski parlament za działalność nad zbliżeniem narodów. Pierwszymi laureatami pokojowej Nagrody Nobla w roku 1901 byli: H. Dunant, E. Ducommun, A. Gobat — wszyscy trzej ze Szwajcarii oraz W. R. Cremer z Anglii i F. Passy z Francji. Dwie pozostałe międzynarodowe nagrody pokoju są przyznawane corocznie od 1949 r. Międzynarodowa Nagroda Leninowska została ustanowiona przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR we wrześniu 1956 r.[1]). Laureaci otrzymują dyplom, złoty medal z wizerunkiem Lenina i nagrodę pieniężną. Pierwszymi jej laureatami w 1960 r. zostali: znakomity fizyk francuski i członek Francuskiej Akademii Nauk — prof. Fryderyk Joliot-Curie, znana francuska działaczka międzynarodowego ruchu kobiecego i przewodnicząca powstałej w 1945 r. Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet — Eugenia Cotton, profesor Uniwersytetu w Canterbury (Anglia) — Hewlett Johnson, biskup protestancki z USA — Arthur Moulton, przewodnicząca Chińskiego Stowarzyszenia Pomocy Ludowej — Sun Czin-sin, przewodnicząca Demokratycznego Związku Kobiet Koreańskich — Pak Den-Ai, oraz były minister Meksyku — Heriberto Jara. Międzynarodowa Nagroda Leninowska podobnie jak Międzynarodowa Nagroda Pokoju przyznawana jest „Za utrwalanie pokoju między narodami" — wybitnym działaczom bez względu na ich pochodzenie, przekonania polityczne i narodowość. Rok 1969 jest dla tych obu nagród pokojowych swego rodzaju rokiem jubileuszowym — 20 rocznica ich postanowienia. Przyznanie zaś w roku 1970 przez Radę Najwyższą Międzynarodowych Nagród Leninowskich będzie stanowić jeden z punktów programu uroczystości 100 rocznicy urodzin Lenina i będzie nagrodą za wcielanie w życie leninowskiej idei polityki pokojowej zapoczątkowanej przez Lenina jeszcze w 1917 roku, pierwszym dekretem władzy radzieckiej „Dekretem o Pokoju".

Wkład Polski i Polaków w dzieło umacniania pokoju

W ciągu całego dwudziestopięciolecia Polska Ludowa w zakresie polityki zagranicznej związanej ściśle z polityką zagraniczną całego obozu państw socjalistycznych wniosła poważny wkład w działalność na rzecz pokoju i pokojowej współpracy narodów tak na forum ONZ i Komitetu Rozbrojeniowego osiemnastu państw w Genewie, czy też na terenie innych organizacji i instytucji międzynarodowych. Wkład Polski i Polaków w dzieło umacniania pokoju został oceniony i wyróżniony wieloma nagrodami międzynarodowymi: Leninowską i Światowej Rady Pokoju „Za utrwalanie pokoju między narodami", Międzynarodową Nagrodę Leninowską otrzymali: znakomity pisarz Leon Kruczkowski i znany działacz polityczny — Ostap Dłuski (1960). Światowa Rada Pokoju przyznała Międzynarodową Nagrodę Pokoju reżyserowi Wandzie Jakubowskiej za film „Ostatni etap" (1950). Ponadto Światowa Rada Pokoju odznaczyła Warszawę Honorową Nagrodą Pokoju, a Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" wyróżniony został złotym medalem za działalność na rzecz zbliżenia narodów.

Oprac.: EMILIAN BLIŹNIAK

1) Laureaci istniejącej od 1949 r. — 1956 (ustanowiona w grudniu 1949 roku) Nagrody Leninowskiej są zaliczeni w poczet laureatów Nagrody Leninowskiej.

„Paradoks" wystartował

W bieżącym roku akademickim daje się zauważyć wśród studentów Wyższej Szkoły Inżynierskiej duże ożywienie ruchu kulturalnego. Oprócz znanego już klubu „Pro Musica" działa na uczelni Studencki Teatrzyk Satyry „Paradoks".

W środę, w klubie „Wuesik" teatrzyk „Paradoks" przedstawił kabaretowo - poetycki program pt. „Proponujemy". Był to wybór utworów Gałczyńskiego, Marii Pawlikowskiej - Jasnorzewskiej, Załuckiego, Kerna, przeplatany piosenkami Kabaretu Starszych Panów, Jurandota i balladami Okudżawy. W programie wzięli udział: Halina Tomczyszyn, Maria Hadło, Grażyna Hołyńska, Andrzej Ciepliński, Andrzej Malec i Tadeusz Ragoyski. Gościnnie wystąpił absolwent WSI, inż. Henryk Borowiec, jeden z pierwszych działaczy studenckiego ruchu teatralnego na uczelni. Oprawę muzyczną przygotował Tadeusz Ragoyski. Aktorzy teatrzyku, to laureaci różnych konkursów recytatorskich i absolwenci szkół muzycznych.

Najliczniejsi w tym gronie są studenci wydz. elektrycznego, wydz. chemiczny reprezentują dwie osoby. Program „Proponujemy" spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem bardzo licznie przybyłych studentów i zespół często zmuszony był do bisowania najlepszych numerów. Następny spektakl teatrzyku „Paradoks" odbędzie się po feriach świątecznych, na który klub „Wuesik" zaprasza wszystkich chętnych, nie tylko studentów. Jednocześnie teatrzyk planuje zaprezentować swój program szerszej publiczności, a w szczególności pracownikom rzeszowskich zakładów pracy.

ed

NAJLEPSZY OBRAZ KWARTAŁU

9 grudnia br. nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu na najlepszy „Obraz kwartału". Pierwszą nagrodę jury przyznało pracy pt. „Melancholia" Wiesława Wodnickiego. Wystawa zakwalifikowanych do ekspozycji prac odbędzie się w Klubie ZPAP w Domu Sztuki.

Wiesław Wodnicki
„Melancholia" — olej.

Nieznane listy Jana Wiktora

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wiła. Radomyśl zrobił na mnie przygnębiające wrażenie — ta miejscowość, tak dawniej żywa — jest obecnie umierająca. Wieczorem to istne cmentarzysko.

U nikogo nie byłem, nikogo nie odwiedziłem, boć i ludzi nie ma. Pustka i martwota.

Jak się Pani czuje obecnie? Jak zdrowie? Czy Pani zadowolona z pracy, w którą zawsze wkładała duszę całą. Szkoda, że Panią nie spotkałem w Radomyślu, bobym o wielu sprawach rad pogawędzić.

Łączę bardzo serdeczne wyrazy

JAN WIKTOR

Kraków 7/XI 953

DOBRA PANNO MARYSIU!

Serdecznie dziękuję za list i za życzenia. Otrzymałem je w Szczawnicy — dokąd wpadłem na cztery dni, bo już nie mogłem wytrzymać dłużej w Krakowie. Wracam w środę, w czwartek jadę do Warszawy na 2—3 dni chyba w niedzielę i już siedzę przez święta kamieniem. Gorąco proszę, gdy Pani będzie w podwawelskim gródku o odwiedzenie mnie.

Wspomina Pani o odczycie o „Papieżu i buntowniku" — krytyka bardzo powierzchownie pisała o tej książce, przeważnie pominęła ją milczeniem dlatego tym droższe są mi sądy czytelników. Zdaję sobie sprawę, że ta książka jest trudna i nie może liczyć na popularność, ale i tak w krótkim czasie ukazał się drugi nakład po 10 tys. — co należy uważać za rekord. Ucieszyłbym się, gdyby Pani przesłała mi swoje uwagi — jak się czyta, co uderza, jakie wady i zalety. Może też ten odczyt, jaki Pani wygłosiła na Zespole i streszczenie dyskusji — jeżeli taka była... Już jestem poza nawiasem upodobań dzisiejszej krytyki — patrzącej innymi oczami„ na starych". Nie dziwię się — należę do innych czasów, do minionego pokolenia.

Życzę wszystkiego dobra, zdrowia, spokoju — boć wszystko inne ma Pani w sobie i rozdziela aż nazbyt hojnie wśród uczniów — których serca podpala Pani tym co dobre, co piękne, co wielkie i co jest miłością.

JAN WIKTOR

Szczawnica 14/XII 953

Uwaga: w wierszu 8 tekstu autor opuścił chyba słowo „wracam".

DROGA PANI MARYSIU!

Bardzo gorąco dziękuję za piękne słowa, które mnie głęboko wzruszyły i sprawiły radość.

Proszę też podziękować członkom Grona za życzliwość. To jedyna nagroda dla pisarza — wzruszenie czytelnika. — Niestety, dzisiaj tak mały odgłos znajdują książki nieraz zrodzone z wielkiej miłości człowieka i z wszystkiego co dobre, szlachetne i piękne.

Dziękuję też za wspomnienia o dawnych czasach. Alfons to wyjątkowy człowiek, jakiego trudno spotkać w życiu. Ilekroć jawi mi się Alfonek zawsze przypomina nam sobie opowiadanie Żyda — z czasów pierwszej wojny światowej. — Kwaterowali w barakach. Było zimno. Śnieg zlatywał przez szpary. Leżący obok na pryczy żołnierz kaszlał — I wtedy stała się rzecz niezwykła. W nocy poczuł ów żołnierz — Żyd, że ktoś go okrywa płaszczem, pod którym spał sąsiad. Był to Alfons Chmielowiec. Mało kto zdobyłby się na tak heroiczny czyn w codziennym życiu. Niedawno miałem wiadomość, że Jula Imielowa stała się pomnożycielką rodu ludzkiego i ród Imielów obdarzyła synem.

P. Maria Zawiczyńska przesyła piękne pozdrowienia

Ja — jeszcze raz gorąco dziękuję za pomoc i łączę najpiękniejsze wyrazy

JAN WIKTOR

Kraków 13. I 961

Władek Okoń mieszka w Krakowie. — Syn jego Krzysztof wyjeżdża do Włoch na dalsze studia jako stypendysta.

WIELCE MIŁA I KOCHANA PANI MANIU!

Najserdeczniej dziękuję za list i za życzenia.

Ja też przesyłam najgorętsze wyrazy dla Pani i dla Siostry — szczególniej zdrowia, spokoju i radości w dzisiejszym bardzo szarym życiu. Listy Pani zawsze czytam ze wzruszeniem, a przy tym przynoszą coś, co jest rzadkością — a to krzepią i dodają sił. Zresztą nikt nie jest tak łaskawy dla mnie jak Pani, zawsze życzliwa i przyjazna.

Muszę stwierdzić, że mało kto przeżywa tak głęboko książki jak Pani. Trzeba mieć wrażliwą duszę i znajdować pod powłoką liter właściwą treść — czasem łzy, czasem pulsującą krew, czasem ogień. Jest Pani zbyt łaskawą dla mnie, nie zasłużyłem na tak piękne słowa. Spełniałem tylko to, co mi nakazywało sumienie według sił i możliwości (W ostatnim numerze „Hejnału Mariackiego" — wydawanego w Warszawie dla Polonii zagranicznej — znajduje się mój artykuł „Strzępy wspomnień" — z fotografiami Radomyśla. — Może gdzieś w czytelni znajdzie Pani). Pani list jest jedynym z Radomyśla. — Ale jedynie tylko Stefan Gębala z Żabna ostatnio pomieścił bardzo gorąco napisany artykuł o mnie pomieszczony na łamach „Zielonego Sztandaru". Bardzo się ucieszyłem wiadomością — że nauczycielstwo przyznało Pani Odznakę Złotą Związkową. Bardzo owocną, szlachetną pracą, pełną miłości człowieka, narodu, Polski — pełną ofiarności — zasłużyła Pani, która powinna być wzorem dla wszystkich jako nauczycielka

Krystyna Świerczewska

NIESPOKOJNA STAROŚĆ

„Niespokojna starość" została napisana przed z górą trzydziestu laty, ale przypadła na dwa najniespokojniejsze lata leningradzkie 1916—1918. „Niespokojna starość" nie jest dokumentem odtwarzającym schyłek życia Klimenta Timiriazewa, ale przecież odwołuje się w realiach do działalności wielkiego botanika, który swoje 75-lecie obchodził właśnie w zamęcie Dni Października, sam niewzruszony jak opoka w swoich postępowych poglądach, skupiający wokół siebie wszystko co uczciwe w inteligenckiej myśli rosyjskiej. Odwołuje się nie tylko zresztą do realiów rządzących jedną postacią historyczną; sam wyznaje, że sięgnął po biografię paru co świetniejszych nazwisk — Mendelejewa, Miecznikowa, Popowa, Pawłowa, by stworzyć próbę syntezy uczonego, w którym doskonałość wiedzy jest adekwatna do wewnętrznej uczciwości, prostolinijności, w którym wiedza wyzwala szlachetność postępowania oraz bezkompromisowy stosunek wobec rzeczywistości.

Znany jest w końcu obraz inteligenta rosyjskiego: i tego „małego, zmarzniętego" i tych wielkich a nieprzychylnych, w końcu zresztą zmiażdżonych przez racje ogólnoludzkie, słowem — inteligenta w efekcie przegranego. Rachmanowa interesuje proces odwrotny, a więc inteligent od razu i z pełną świadomością stający po stronie Października: ba, inteligent, który nie zaznał nawet wątpliwości wyboru. Bo rzeczywiście tak się dzieje z profesorem Poleżajewem, że ideologia rewolucyjna — to jest to właśnie o co walczył przez całe życie w uniwersytecie, za co carat pogardliwie określał jego inicjatywy „położajewszczyzną", a co jednocześnie nie przeszkodziło zbierać mu laurów międzynarodowych, włącznie z doktoratem honoris causa w Cambridge.

Rachmanow wybiera schyłek życia uczonego nie bez powodu: przecież Poleżajew n i e m u s i nawet dokonywać wyboru publicznego, żeby dokończyć życia w spokoju; przecież mógłby realizować dzieła uczonego, nie zajmując tej zdecydowanej postawy wobec rzeczywistości, skoro przeszłość jest tak chlubnym dokumentem jego uczciwej, profesorskiej wielkości i skoro przyszłości już tak niewiele przed nim. Ale Rachmanow czuje, że byłby to nieurodziwy kompromis, po prostu nie pasujący do całości życia niespokojnie przeżytego i dlatego właśnie spokojnemu sumieniu Poleżajewa przydaje niespokojną starość. By rzecz zaś nie ograniczała się do deklaratywnych sformułowań — umieszcza profesora w zacisznych ścianach własnego domu, u boku Marii Lwowny — jego żony, ściszając kameralnie pryncypialność zagadnienia. Bo to tu właśnie, w tym nie najgustowniej urządzonym salonie profesorostwa, będzie się kłębił nurt rewolucji, tu będą docierać echa ulicznych strzałów, tu dadzą się we znaki głodowe racje, nieczynne elektrownie, tu wejdzie po raz pierwszy ludowy komisarz rekwirować nieistniejący chleb, tu zrodzi się ponownie idea instytutu naukowego, odezwy do inteligencji, tu przemknie korowód zdezorientowanych studentów, tu okrzepnie na wrogich Poleżajewowi pozycjach Worobiew i tu dojrzy się cichego przyjaciela — kobietę, owo jedno życie profesorskie dopełniającą — Marię Lwownę.

Jerzy Pleśniarowicz reżyserując „Niespokojną starość" Leonida Rachmanowa w Teatrze im. W. Siemaszkowej odczuł cały urok tych kameralnych dziejów inteligenckich w czasach wielkiego przełomu. Dostaliśmy przedstawienie wyciszone, wolne od patosu i deklaratywności, które by przecież mogły się narzucić przy mniejszej dyscyplinie wyobraźni i jednocześnie dostaliśmy przedstawienie, w którym nie ma nic z muzealnych wyobrażeń o Październiku: realistyczne, żywe, ocalające stronę moralno-dyskusyjną sztuki. Może i troszkę sentymentalne, ale w końcu „zawiniony" ten sentymentalizm jest bardziej przez Rachmanowa niż przez teatr; a poza tym w owym sentymentalizmie sama osobiście dostrzegam dużo uroku i ciepła. Właśnie! Ciepło i urok są dominantą tego spektaklu i czynią z historii Poleżajewów niemal moralitet o mądrze przeżytym życiu w czasach piętrzących moralne przeszkody przed każdym człowiekiem.

I wreszcie aktorstwo, bez którego sztuka nie byłaby w stanie przemówić do widza. Tradycja polskich przedstawień odnotowuje nazwiska najświetniejsze, a m. in. samą Wandę Siemaszkową, która grała w polskiej prapremierze we Lwowie rolę Marii. Zasługę Pleśniarowicza widzę w całkowitym porozumieniu z aktorami w umiejętności wydobycia z nich najlepszego: w wyciszeniu niespokojnych, w odkrywaniu niezauważanych. Myślę, że dawno nie miałam okazji pisać o tak bardzo aktorskim spektaklu, o aktorstwie dobrym, wyrównanym, kulturalnym.

Oczywiście, że profesor Poleżajew **Wacława Rybczyńskiego** musi znaleźć się na planie pierwszym, bo była to rola niesłychanie konsekwentna, urodą drobnych gestów budowana, z dystansem z lekką autoironią profesorskie nawyki podrzucająca widzowi, świetna w wyrazie, obmyślona w szczegółach, acz nieprzerysowana.

Ale ta jej pierwszoplanowość, wynikająca także z ciężaru ilościowego, bynajmniej nie przysłania protagonistów: bo oto miłą, wdzięczną, po kobiecemu rozumną (myślę, że zgodzi się z tym terminem jej autorka?) Marię Lwownę zagrała **Irena Żuromska**, przywołując do głosu całe swoje doświadczenie aktorskie, bo **T. Czarnowski**, może tylko nieco, nieco demonizując, wyposażał swego Worobiewa w całą gamę niepokojów, by wreszcie przejść do zdecydowanej postawy obcego w klimacie poleżajewowskim, bo spokojnie i prosto zaproponował nam Boczarowa **Jan Stawarz**, już zewnętrznie przystając świetnie do roli, bo **Zbigniew Zaremba** jako Kuprianow tym razem wniósł nie tylko elementy humoru, lecz czuło się pod nimi myśl i serdeczność nieuczonego marynarza.

Odchodząc zaś od aktorstwa, można mieć naturalnie takie czy inne uwagi co do całości, z których najważniejsza pod adresem autora by padła, iż nie uniknął powtórzeń sytuacyjnych, a pod adresem reżysera — że z nadto wielkim pietyzmem owe sytuacyjne niedoskonałości odtworzył; w sumie jednak — oglądałam „Niespokojną starość" z niekłamaną przyjemnością. Nie jest to uczucie na tyle częste w teatrze, by samo w sobie nie zawierało komplementu pod adresem twórców spektaklu.

Przeto na zakończenie dodam tylko, że funkcjonalną scenografię zaprojektowała do „Niespokojnej starości" Irena Perkowska, zaś muzykę skomponował pierwszy wicedyrektor Teatru im. W. Siemaszkowej — Antoni Graziadio, jakby na poparcie wcześniejszego mojego o nim wspomnienia, iż mimo wyjazdu z Rzeszowa, kontakty z teatrem rzeszowskim mogą rozwijać się pomyślnie.

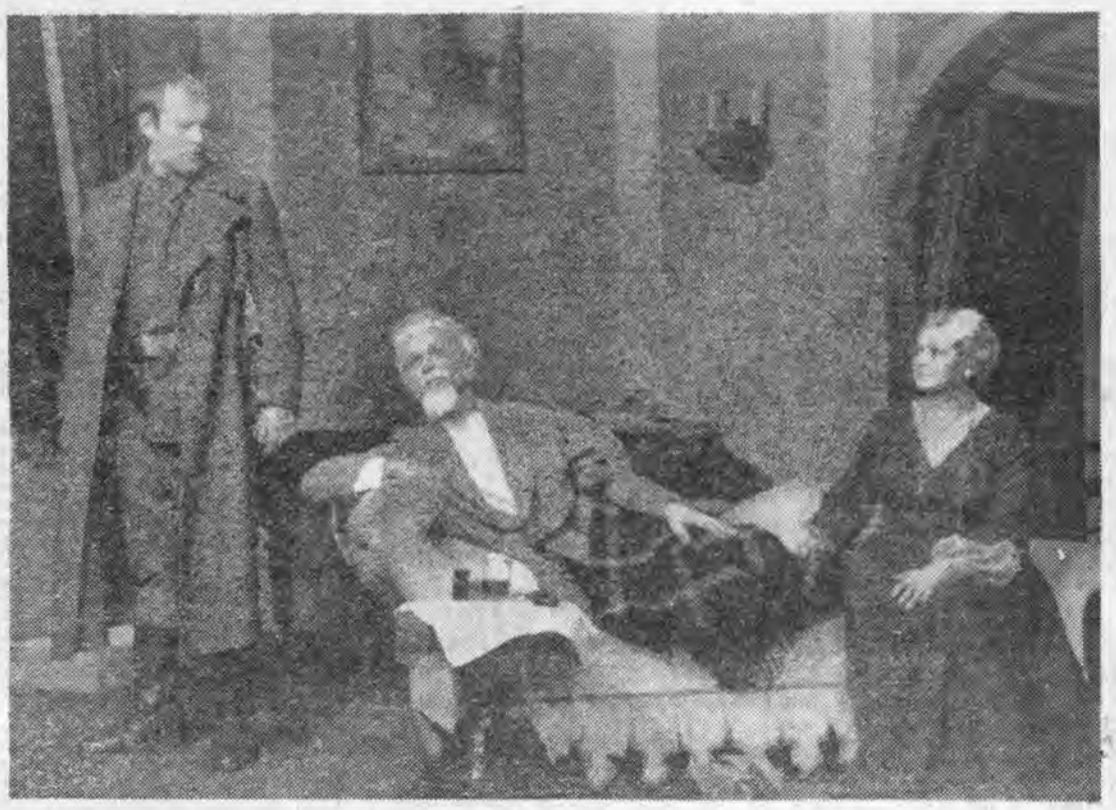

Fot. F. MYSZKOWSKI

Teatr im. W. Siemaszkowej: Leonid Rachmanow — „Niespokojna starość". Reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz. Scenografia: Irena Perkowska. Opracowanie muzyczne: Antoni Graziadio. Asyst. reż.: Henryk Gońda. Osoby: Poleżajew Dymitr Iłarionowicz — Wacław Rybczyński, Maria Lwowna — Irena Żuromska, Worobiew — Tadeusz Czarnowski, Boczarow — Jan Stawarz, Kuprianow — Zbigniew Zaremba, Dozorca — Stanisław Zych, Żołnierz — Tadeusz Krasnodębski, Marynarz — Wincenty Zawirski, Kucharka — Jadwiga Wysocka, Studenci — Urszula Nowacka, Walentyna Pająkówna, Henryk Gońda, Józef Jachowicz. Premiera 29 listopada 1969 r.

---

i człowiek. Pani Maria też łączy serdeczności.

Pięknie się kłaniam Pani

Jan Wiktor

Kraków 21. XII 963

ZAWSZE WIELCE MI PRZYJAZNA PANI MARYSIU!

Właśnie przysłano mi z Krakowa list od Pani.

Najserdeczniej dziękuję za słowa, które mnie głęboko wzruszyły Miałem kilka głosów o tym artykule, między innymi od Władka Okonia, ale nikt tak pięknie, nikt tak głęboko nie ujął swoich wrażeń jak Pani, która ma bardzo wrażliwą duszę, pełną polotu poetyckiego Nic dziwnego, przecież Alfonek zasiał w sercu swojej siostrzenicy ziarno piękna i umiłowania wszystkiego co szlachetne i dobre. Może być dumny ze swojej ukochanej wychowanki. W zaufaniu Pani powiem, że artykuł został w redakcji pokiereszowany. Redaktor — obrzezaniec usunął pewne ustępy które nie odpowiadały jemu. Czy uda mi się kiedyś ogłosić w całości? Któż to zgadnie? Dziękuję też Górskiej, za to, że tak zareagowała na mój artykuł.

Nad biurkiem, przy którym pracuję wiszą dwie fotografie z Radomyśla — a to kościółka z dzwonnicą i drogi do Sanu. Ilekroć podnoszę oczy znad papierów zawsze wzruszam się.

Może ktoś prześle mi kiść zboża z pola radomyskiego i kiść kwitnącego wrzosu.

Najserdeczniej dziękuję i ślę piękne wyrazy

JAN WIKTOR

Szczawnica 31. VIII 965

KOCHANA I ZACNA PANI MARYSIU!

Przed chwilą otrzymałem list przesłany z Krakowa do Szczawnicy. Dawno nie wzruszyło mnie jak Pani słowa tak piękne, tak szlachetne i niezwykłe w dzisiejszych czasach i stosunkach.

Obudziła Pani wspomnienie, przeżycia, które leżą w pamięci jak w grobie. Dziękuję Pani za dobre słowa, za to co Pani widziała i przeżyła w Radomyślu tak nam drogim i tak zapomnianym... A na to nie ma ratunku.

Wspomina Pani o radiu, o telewizji. Niestety nie słyszałem ani rozmowy ze mną, ani nie widziałem filmu. Otrzymałem bardzo wiele depesz, listów, ale z ukochanego Radomyśla — ani słowa — (ze Szczawnicy, której poświęciłem kawał życia — tak samo).

Wielekroć zamierzałem, przed końcem moich dni, odwiedzić rodzinne kąty, powędrować w pola, do lasów, nad San, znów przeżyć to, co przeżywałem przez lata dzieciństwa, młodości. Ale po co budzić przeszłość. Zresztą nikogo tam nie mam. Jestem ostatni i obcy (natomiast nakazuję, aby — gdy czas nadejdzie— pochowali mnie na „Zjawieniu". Tam ostatni spoczynek wśród swoich i drogich. To wzgórze zawsze mi drogie i bardzo wielu węzłami zespolone z moim życiem, które przechodziło różne koleje. Zasmuciły mnie bardzo ustępy zwierzeń o Sobie. Nie godzę się z pesymizmem Pani.) Piękna Pani praca w każdej godzinie w szkole i poza szkołą. Uczennice z największym uznaniem mówią o Pani — i wdzięcznością — „To prawdziwa nauczycielka, to prawdziwy Człowiek" — Czyż może być cenniejsza nagroda niż to słowo — Człowiek? — Czyż jest piękniejszy wyraz — Człowiek? — Nauczyciel, który oddaje swoją duszę rozpaloną entuzjazmem, podpala serca, aby żyły dobrem, miłością wszystkiego co piękne i szlachetne. Co to za szczytna praca...

...Żyję w Krakowie, ale z dala od wszystkiego, tylko echa docierają do mojego pokoju. Czytam, coś niecoś piszę, składam to do szuflad i nie skarżę się na tak zwany „emerycki chleb" — Mój wiek niesie też wiele radości i obdarza swoimi rozkoszami. Trzeba tylko patrzeć z pobłażaniem i wyrozumiałością. Oby tylko w zdrowiu i w spokoju przeżyć resztki dni. Nie odmienię świata, nie wpłynę na rozwój jego.

Tak samo jest w Szczawnicy. Ot, samotnia otoczona burzliwymi falami dzisiejszego życia.

Niechże Pani w sobie wykrzesze to światło, które niech tylko sobie świeci (ludzie gotowi zagasić choćby łzami zadając ból). Chronić go. To światło to jedyne szczęście.

Pani Marysiu — chciałbym zagarnąć dużo jasności, choćby ukraść słońcu, wcielić w słowa i przesłać je Pani, aby radowało, budziło uśmiechy.

JAN WIKTOR

Szczawnica 17 IX 1964.

SZLACHETNA PANI MARYSIU!

Serdecznie dziękuję za ostatni list.

Właściwie jedynie Pani pamięta o mnie. Poza tym nikt z radomyślan, chociaż mieszkają w Krakowie. Tak samo nikt nie pisze z Radomyśla. Słuchałem audycji w radiu nadawanej z Rzeszowa o Radomyślu. Różne myśli snuły się. P. Maria Zawiczyńska — też słuchała ale oburzała się. Wspominali o izbie pamiątek. Dlaczego nikt w tej sprawie nie zwrócił się do mnie tylko musieli używać pośredników.

„Hejnał Mariacki" pomieścił strzępy wspomnień o Radomyślu, przedrukowały pisma polskie w Ameryce i otrzymałem trochę listów.

Wspomina pani o Zjawieniu (— tam też znajdję skrawek piaszczystej ziemi). Myli się Pani — bo nieco na prawo — spoczywają Marynia, Michał, a obok Andzia.

Radomyśl — to umierająca miejscowość. Obcy ludzie przyszli, którzy nic wspólnego nie mają z samym miasteczkiem, z mieszkańcami, nie znają chlubnej przeszłości. Gorąco dziękuję za pozdrowienia od całej przyrody — Właśnie kończę wspomnienia o czasach chłopięctwa. Wiele najpiękniejszych wyrazów śle

JAN W.

Szczawnica 12:VII 1966.

Od czasu do czasu pisze do mnie Gębala z Żabna.

KOCHAŁ ŻYCIE

STANISŁAW MICHALEK — dyrektor i dyrygent Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Opolu od 1959 roku, który kilka razy występował gościnnie w Rzeszowie — urodził się w Krakowie i tu studiował w PWSM uzyskując w 1952 roku dyplom dyrygenta.

Wieloletnie kontakty z Arturem Malawskim, datujące się z krakowskich szkół muzycznych przetrwały do ostatnich chwil kompozytora.

Poniższe impresje napisał Stanisław Michalek na naszą prośbę; drukujemy je w 12 rocznicę śmierci Artura Malawskiego — 26. XII. 1957 r. — w cyklu „Współcześni o mistrzu z Przemyśla". Każdy, kto kiedykolwiek spotkał się z Malawskim, do dziś pozostaje pod urokiem tego człowieka, który najwięcej wymagał od siebie samego, kochał życie, a poświęcił je Muzyce.

Artur Malawski z Bohdanem Wodiczko w dziedzińcu Wawelu — 1954

Fot. Z. POSTĘPSKI

To już prawie 25 lat, a widzę Jego uśmiech i charakterystyczny ruch ołówka nad partyturą. Dzień egzaminu wstępnego do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie. Jeden z tamtych dni! Może to przedegzaminacyjna trema sprawiła, że tak dokładnie pamiętam wymagającego, ale jakże życzliwego egzaminatora. Jednak nazwisko, to nazwisko, które z biegiem lat stać się miało wartością nieprzemijającą, usłyszałem wówczas po raz pierwszy.

Przedwojenne życie muzyczne Krakowa to trochę recitali lwów estrady koncertowej, od czasu do czasu spektakle półamatorskiej opery. Kompozytorzy mieli do dyspozycji właściwie tylko warszawską Filharmonię i niestrudzonego w propagowaniu nowych dzieł Grzegorza Fitelberga. O miejsce w programie koncertowym było bardzo trudno, o druku własnego utworu można było tylko marzyć. Dodajmy jeszcze niechęć konserwatywnego środowiska (przypomnijmy smutne doświadczenia samego Karola Szymanowskiego) i publiczności, którą nowe nazwisko raczej odstraszało niż zaciekawiało.

Te czasy wspominał Malawski nieraz opowiadając o koncertach, które w Krakowie organizował, brał w nich udział jako wykładowca Konserwatorium, początkowo jako skrzypek, później wreszcie prezentując własne utwory. Opowiadał o tym z charakterystycznym, ironicznie pobłażliwym uśmiechem:

„Wirtuozem to ja nie byłem, a te moje utwory, co wtedy grali — spaliłem".

Chyba szkoda! Sam twierdził wprawdzie, że „w tych drobiazgach było więcej Ravela i Skriabina niż Malawskiego", ale wiadomo, że nikt nie jest miarodajnym sędzią we własnej sprawie...

Już jako dojrzały muzyk zdecydował się Malawski uzupełnić studia w Warszawie. Trzyletnia intensywna praca przyniosła Mu dwa dyplomy: z dyrygentury i kompozycji. O swoim pobycie w stolicy niechętnie mówił; z satysfakcją natomiast wspominał trud kompozytorskich poszukiwań, uporczywego modelowania formy, tak aby idealnie przystawała do pomysłu muzycznego i tworzyła z nim nierozerwalną całość.

Malawski był fanatykiem rzemiosła, a jakakolwiek wzmianka o „natchnieniu" doprowadzała Go do pasji. Uważał komponowanie za takie samo rzemiosło jak szycie ubrań, czy robienie butów, w którym to poglądzie nie był osamotniony, bo to samo twierdził Strawiński, o czym Malawski wiedział. Nie wiedział natomiast, że Jego teza o muzyce, jako sztuce logicznego myślenia jest tezą Leibnitza — bo filozofia Go nie interesowała. Rozważania estetyczne też były Mu właściwie obce. Dobra jest ta muzyka — prawił — która jest dobrze napisana. Bał Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać! Nie ma takich trudności, których stałą i systematyczną pracą nie można pokonać — twierdził — i własny styl tej pracy stawiał za wzór. Przede wszystkim — zalecał — należy zasiadać do pisania codziennie, i o tej samej godzinie. Sam kompozytor rezerwował sobie godziny ranne, to były godziny święte! Nikt nie miał prawa godzin tych zakłócać. Niewątpliwy był ilościowy efekt czasu spędzonego w ciszy własnej pracowni. Ważna była zasada. Malawski wielokrotnie powtarzał, że nie należy się zniechęcać żadnymi trudnościami. „Siedź wytrwale, a inwencja przyjdzie" — mówił. O tym, że miał rację, przekonałem się bardzo szybko.

O godzinie trzeciej po południu zaczynał Malawski lekcje i wykłady. Punktualnie wchodził do klasy (organicznie nie znosił niepunktualności) i bez żadnych wstępów „rzucał" problem na tablicę. Prowadził lekcje systemem seminaryjnym, prowokował dyskusje, nieraz bardzo żywe. Nie tolerował bierności wobec muzycznych zagadnień. O muzyce wiedział chyba wszystko i swą ogromną wiedzę przekazywał jasno i prosto. Miał wielki talent pedagogiczny, talent w ciągu lat pracy stale rozwijany i pogłębiany. Bez talentu i bez pracy nie doszedłby do tej olśniewającej swobody, z jaką — zawsze krótko, jasno i zwięźle — wyjaśniał — sprawy nie raz bardzo skomplikowane. Jednym spojrzeniem wyławiał w pracach uczniów miejsca niedokomponowane, „puszczone" jak je określał i natychmiast wskazywał kilka sposobów naprawiania błędów.

A pedagogiem był bardzo wymagającym. Nawet zwyczajne zadanie z harmonii czy kontrapunktu musiało przedstawiać pewną wartość estetyczną. Kto temu wymaganiu nie potrafił sprostać, miewał ciężkie życie i zwykle opuszczał grono jego uczniów na zawsze.

Malawski brał żywy udział w życiu muzycznym Krakowa jako kompozytor i pedagog, stawał też przy dyrygenckim pulpicie Filharmonii. Robił to rzadko, może dlatego, że chyba tak naprawdę, interesowała Go tylko własna muzyka. Ale pamiętam też pod Jego dyrekcją dzieła Beethovena, Brahmsa, Czajkowskiego...

Jak nowo narodzony przyjechał też z Amsterdamu, gdzie prowadził własne Etiudy symfoniczne*). Znakomita orkiestra, nastrój europejskiego festiwalu, owacja jaką po koncercie zgotowała Mu zachwycona publiczność, wszystko to sprawiło Malawskiemu ogromną radość. A radości i zwykłej życzliwości ludzkiej potrzebował wtedy wiele, bo czasy nie były i dla Niego i dla Jego muzyki łaskawe. Nigdy o swoich kłopotach nie mówił, zawsze spokojny i uśmiechnięty, starał się nie pokazywać trosk, które Go gnębiły. Czasami tylko baczny obserwator mógł dostrzec w tej pogodnej i jasnej twarzy obcy rys bólu i przygnębienia. Może to wtedy już rozwijała się w Jego organizmie straszna choroba, która parę lat później spowodowała jakże przedwczesną śmierć!

Malawski poza salą wykładową to temat bardzo obszerny (podobno jeden z Jego uczniów ma zamiar poświęcić temu tematowi osobny rozdział w swych pamiętnikach), bo Malawski kochał życie i jego uroki. Czarujący causeur, lubił doborowe towarzystwo i umiał się świetnie bawić. Wrodzona delikatność i charme ułatwiały Mu swobodny kontakt ze starymi i młodymi. Młodzi uwielbiali Profesora. Jego stolik w kawiarni Noworolskiego był zawsze oblężony. Wszyscy pilnie słuchali, gdy Maestro snuł swe sławne opowieści o zdarzeniach prawdziwych i o takich, które nigdy nie miały miejsca, ale dawały okazję do pedagogicznego oddziaływania. Jeżeli większość słuchających stanowiły koleżanki, wtedy opowiadania zawierały bonmoty na poczekaniu tworzone i nastrój bywał raz po raz przerywany głośnym śmiechem. Malawski był wielbicielem kobiecości w ogóle, co — jak stwierdził — ułatwiało Mu komponowanie.

Zdarzało się spotkać Profesora w kawiarni samego. Rozmowa schodziła wtedy szybko na zagadnienia fachowe i przeradzała się w arcyinteresującą lekcję, ilustrowaną przykładami pisanymi na papierowych serwetkach. Te „nadobowiązkowe" lekcje Malawski bardzo lubił. Wspominał je z wyraźnym wzruszeniem jeszcze w wiele lat po wręczeniu mi dyplomu.

Lata bowiem szybko biegły, ani się obejrzałem, gdy pasowany na muzyka zacząłem samodzielną pracę.

Kontaktu z Profesorem nie zerwałem do końca. Spotykaliśmy się w salach koncertowych, w szkole, do której przyjeżdżając do Krakowa należało „obowiązkowo" zaglądnąć, w Tatrach wreszcie. Malawski kochał góry i jak długo stan zdrowia Mu na to pozwalał, uprawiał turystykę. W górach najlepiej odpoczywał, regenerował siły do dalszej pracy. A pracował tak, jak tylko On potrafił. Uczniom poświęcał mnóstwo czasu do swych ostatnich dni. Nie tylko tym, którzy zasiadali w audytoriach Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie. Coraz to któryś z dawnych studentów przyjeżdżał ze świeżo ukończoną partyturą, aby zasięgnąć rady, wysłuchać opinii precyzyjnie sformułowanej, bezkompromisowej, ale życzliwej.

Do ostatnich dni Malawski komponował, wierny swej zasadzie: nulla dies sine linea. Bezkompromisowy wobec jakiejkolwiek pseudoartystycznej łatwizny, wierny swemu muzycznemu sumieniu, albowiem nic co muzyką było — nie było Mu obce.

Dzieło Jego nie tylko nie zbladło z upływem lat; przeciwnie — obserwujemy renesans zainteresowania tą znakomitą muzyką. Rozwój muzycznej twórczości poszedł drogą zupełnie różniącą się od tej, po której kroczył Malawski. Mimo to, takie kompozycje jak Wierchy, Trio, Etiudy symfoniczne, II Symfonia, będą zawsze frapowały siłą inwencji, mistrzostwem formalnym.

STANISŁAW MICHALEK

*) Etiudy zostały wykonane 9 czerwca 1948 r. na Festiwalu Muzyki Współczesnej (SIMC) przez orkiestrę holenderską Concertgebouw z udziałem pianisty Jana Hoffmana.

(dopis M. C. G.)

Jan Grygiel

Impresje słowackie

„GRAJ

Słowacka turystyka... bogactwo różnorodnych krajobrazów od ośnieżonych szczytów tatrzańskich do rozległych nizin Zemplina, głębokie wapienne wąwozy Słowackiego Raju i baśniowe jaskinie Słowackiego Krasu... nowoczesne hotele, oryginalne „szałasy", „koliby" i „piwnice" zamiast „punktów zbiorowego żywienia"... jak to wszystko ułożyć w jakiś obraz, jak zbudować z tego jakiś wzór. Słowacy szczycą się tą różnorodnością — u nas w Słowacji mamy najniżej i najwyżej położone miejscowości w całej republice. — U nas mamy Garłuch i „słowackie morze".

Nie będę się starał ukazywać wszystkich problemów słowackiej turystyki... ani wszystkich walorów turystycznych tego kraju. Może ze strzępów wspomnień i wrażeń wyłoni się jakiś zarys.

Już w drugim dniu mojego pobytu w Koszycach, redaktor Paweł Komanicki wyciągnął mnie z hotelowego łoża, zapakował w wołgę i zawiózł w Tatry. A był to dość mglisty ranek u schyłku października i obawiałem się, że w górach niewiele zobaczymy poza zasięgiem ramienia. Więc trzeba było wypić po jednej borowiczce „za dobrą pogodę" w jego mieszkaniu w Preszowie i okazało się, że skutek tego toastu przeszedł nasze oczekiwania. Przez całe trzy dni pobytu w Wysokich Tatrach nie tylko mgły, ale nawet ani chmurki na niebie nie było. Ale o tym później, gdyż po drodze trzeba było się tu i ówdzie zatrzymać, m. in. na obiedzie w „szałasie" w Spiskim Podhradie (w Spiskim Podgrodziu). Szałas okazał się znakomitą restauracją, stylizowaną na słowacką karczmę, położoną u stóp góry z malowniczymi ruinami wielkiego zamku na szczycie (Spiski Gród). W tym właśnie potężnym zamczysku, według powieści Alojzego Jiraska bronili się husyci przed węgierskimi oddziałami. Drewniana, ludowa budowla przywitała nas dużą czystą salą, obwieszoną jelenimi rogami, skórami z dzików i innymi trofeami myśliwsko-leśnymi. Na sosnowych ławach, przy stołach z nieskazitelnie białymi obrusami spałaszowaliśmy specjalność spiskiej kuchni białą kiełbasę z kapustą (uf! co to były za porcje!) popijając pilznerem, a później poszliśmy przywitać się z sarenkami, które z nad drucianej siatki sięgały nam do rąk prosząc o słodycze. W lesie przylegającym do szałasu biegają całe stadka saren bardzo spragnionych ludzkiego towarzystwa. Ale nie było czasu na rozmowy — Tatry czekały.

Wkrótce zainstalowaliśmy się w hotelu „Bellevue" w Starym Smokowcu, pokręciliśmy się po Łomnicy Tatrzańskiej, by po południu znaleźć się w Pieninach nad Dunajcem tuż pod Trzema Koronami. I tam rozmowa z tubylcem, bardzo zresztą serdeczna, który nie wiedział dokładnie kim jest — Słowakiem czy Polakiem. Ten skrawek Pienin należał kiedyś do Polski, więc chodził do polskiej szkoły i czuł się obywatelem polskim. Później granica się przesunęła trochę na północ i zostawiła go w Słowacji. Mówi równie dobrze po polsku, jak po słowacku (różnice językowe tu zresztą nieduże), a na pytanie: Słowak? — Polak — odpowiada: A czy to takie ważne? Tu po obu stronach jesteśmy sami swoi.

Nie mieli za to takich wątpliwości flisacy zaproszeni do Czerwonego Klasztoru przez braci Słowaków z okazji zakończenia dunajeckiego spływu przez Pieniny. Na marginesie — Czerwony Klasztor to nazwa uzdrowiska u stóp Trzech Koron i wielkiej, zabytkowej budowli poklasztornej, zaadaptowanej obecnie dla celów gastronomii i turystyki. Znajduje się tu restauracja (w stylu „pod batogiem"), kawiarnia, sale klubowe i hotel. Z tego właśnie Czerwonego Klasztoru próbował wzbić się w powietrze „Latający mnich" z powieści Jana Wiktora. Ale wracam od lotnictwa do flisaków. Otóż po godzinnym pobycie w słowackiej karczmie, zebrali się kołem przy stole i z wielką tęsknotą i rzewnością zaczęli wyśpiewywać „Góralu, czy ci nie żal odchodzić od stron ojczystych"... A strony ojczyste o rzut kamieniem, na drugim brzegu Dunajca. A każda gorzałka tęsknotę potęguje... Zrobiło się w knajpie nostalgicznie i lirycznie tym bardziej, że bratanie miało szybkie tempo. W obawie, by nie ulec nastrojowi uciekliśmy z powro-

Listy DO PRZYJACIELA

Tornado przedświąteczne przewaliło się przez mój dom, kiedym orzekła, że ani rusz znaleźć cokolwiek w papierach, kiedym odkryła, że kilogramy zaproszeń z imprez dawno odbytych tamują dopływ świeżego powietrza, kiedy uwięzłam w notatkach bezsensownych, nieczytelnych, niczego nie podpowiadających, w starych, pożółkłych numerach tygodników, gazet, słowem — w całej tej szpargalii, bez której nie ma dziennikarskiego życia, ale która utrudnia życie domowe. Nie uwierzysz, ile sentymentów może budzić takie tornado!

Pod oko się pchają zdjęcia z różnych lat, z różnych miejsc, z różnymi ludźmi; gdzieś sypią się listy zakurzone z prośbami o odpowiedź, na którą czasu nie stało; obok poniewiera się psi dyplom, rysunek przyjaciela; wyziera twarz matki, kiedy była w moim wieku, syna, z obowiązkowo gołą pupką, syna pierwszaczka, męża — studenta, zdjęcia tych, których już nie ma i nigdy nie będzie, przyjaciół, nieprzyjaciół, obojętnych wreszcie. Rzucone na tło starych gazet, papierzysk, czynią z tej szpargalii smutną krainę szczęść minionych, straconej urody ludzkiej, młodości, która ciągle zostaje w tyle, na którą nie ma nawet czasu we wspomnieniach.

Tornado przestaje wtedy huczeć i szumieć wymiatanym śmieciem — a my przycupnięci pośród tej sterty, grzebiemy się w latach i ludziach; z rozpaczą usiłujemy rozpoznać Dankę — tę od serca i Jurka — tego od pierwszego balu, gdy tymczasem Danki spłowiała twarz majaczy bez wyrazu, a Jurek zdobył skądś długachny nos, więc nos przysłania walca Francois i zapach taniutkiego chypre'u, którym nie wiadomo już które było wtedy skropione...

CYGANIE"

tem w Tatry w hotelowe pierna-ty.

Na drugi dzień łazęga po Starym Smokowcu zwiedzanie hoteli („Sport", „Grand Hotel" w Smokowcu, „Grand Hotel" w Tatrzańskiej Łomnicy). Wszędzie bardzo wysoki standard, maksimum wygód i komfortu. W jednym tylko wielkim i dość dawne czasy pamiętającym „Grand Hotelu" (kategoria międzynarodowa) widziałem restaurację, bar dzienny, bar nocny, kawiarnię, sale klubowe i folklorystyczną kolibę, o której później. Wszystko bardziej wygodne i przytulne niż nowoczesne, lśniące czystością, estetyczne i obszerne. I oczywiście kryształy, dywany, dobre obrazy i całe galerie wymyślnych trunków i napojów. To wszystko obliczone na turystów z samochodami i zapchanymi kieszeniami — bo ceny wysokie jak Tatry. Oglądałem także budujący się hotel w Smokowcu, sześcio czy siedmiopiętrowy okrąglak wyłożony od parteru po dach wykładziną z polerowanego drzewa, i w Strbskim Pleso — drugi, wielki i szokujący w wymyślnym kształcie architektonicznym. Obydwa przygotowuje się gorączkowo do potrzeb turystów i sportowców z całej Europy, którzy tu przybędą w styczniu 1970 roku na FIS (międzynarodowe mistrzostwa narciarskie).

Bo właśnie po południu pojechaliśmy zobaczyć centrum przygotowań inwestycyjnych do FIS-u — Strbskie Pleso. Mimo października tłok tu taki, że z trudem zdołaliśmy zaparkować wóz. Później spacer nad brzegiem pięknego jeziora, lekka wspinaczka na szczyt stoku, gdzie wznosi się już prawie gotowa olbrzymia skocznia narciarska zbudowana ze stali, betonu, polerowanej blachy i szkła. Na szczyt 80-metrowej wieży stanowiący sztuczny rozbieg wiodą szybkie windy, jeszcze niestety nieczynne. patrzymy na siebie z Komanickim — wchodzimy czy nie. Obydwaj wolelibyśmy zrezygnować, ale nas pożera ambicja — nie ja będę tym pierwszym, który się podda! W rezultacie obydwaj zasapani, z zawrotem głowy ściskając kraty ogrodzenia patrzymy ze szczytowej galerii w dół. A w dole tuż pod skocznią widać budujący się jeszcze jeden duży i oryginalny hotel i gmach dla sprawozdawców telewizyjnych z wieżą nadawczą i długie pawilony z kabinami dla prasy, radia i cały splot budowli oraz urządzeń, których przeznaczenia nie możemy tu z rozkołysanej od

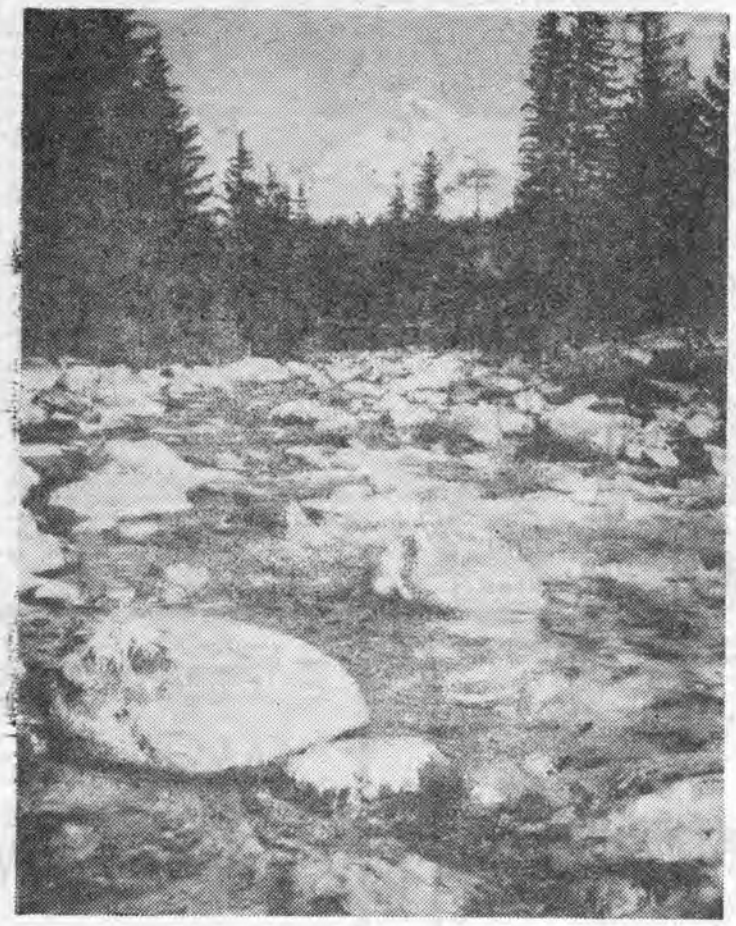

wiatru galerii odgadnąć. Dowiaduję się tylko, że inwestycje związane z FIS-em wynoszą 5 miliardów koron (łącznie z gruntowną przebudową dróg w rejonie Wysokich Tatr budową kolei zębatej), i że ten wydatek chyba się zwróci.

Za turystyczny wyczyn należała nam się nagroda — a więc wieczorem do „Koliby". Kilkadziesiąt metrów powyżej Grand Hotelu, w lesie, budowla przypominająca dużą, drewnianą stodołę. A wewnątrz — to właściwie trzeba zobaczyć, by uchwycić oryginalny nastrój tego wnętrza — wielkie ognisko na środku otoczone pniakami. Na nich siedzi grupa turystów z glinianymi dzbankami z winem i śpiewa do wtóru cygańskiej kapeli. Obok drugie ognisko, nad którym na rożnie wciąż obracają się kurczaki. Po bokach dębowe ławy i stoły, na których płoną świece (światło elektryczne chytrze zamaskowane daje łagodny półmrok). Cienie płomieni skaczą po ścianach, z których szczerzą zęby łby wilcze i niedźwiedzie, zwisają skóry dzików, wymyślne kształty z korzeni, hub i sęków. Kelnerzy strojni w ludowe stroje roznoszą znakomite białe wino w dzbankach i kurczaki, które wszyscy jedzą palcami oraz maleńkie główki specjalnie przyprawionej cebulki jako zakąski do wina. Cyganie, także w ludowych strojach, wędrują po całej kolibie koncertując co chwilę przy innym stoliku. Grają zresztą znakomicie, ludowe melodie słowackie, w których tak wiele elementów czardasza. Melancholia splątana z zadzierzystym rytmem, cygański romans ze zbójnickim. Dowiedzieli się od kogoś z naszego towarzystwa, że jest tu przybysz z Polski — podchodzą do mnie i zaczynają mi nad uchem zawodzić „Góralu czy ci nie żal?"... Parskamy śmiechem z red. Komanickiem — przypomniał nam się Czerwony Klasztor. Więc skrzypek za chwilę zmienia repertuar i częstuje mnie melodiami „Mazowsza", a pół sali podejmuje piosenkę o ptaszku, który przyleciał w kalinowy lasek i dziewczynie, która prosi, by pamiętać, gdy już będzie siwa, że była panienką. Nie powiem by mi wtedy nie zrobiło się miło.

No, ale dość nastrojów — kurczak zjedzony, wino wypite — Cyganie już jakiemuś Austriakowi zagrywają z tyrolska. Pora na garstkę refleksji.

Słowacy przywiązują olbrzymią wagę do rozwoju turystyki zagranicznej, liczą na dochody z niej i dlatego robią wszystko, by turystów ściągnąć do siebie. Temu celowi służą wygodne hotele, piękne, oryginalne restauracje ludowe lub przynajmniej na folklor stylizowane, dobrze wyszkolona, sprawna obsługa, szerokie asfaltowe drogi i gęsta sieć usług. Inwestuje się tu zresztą w dalszym ciągu dużo w rozbudowę i utrzymanie na wysoki połysk bazy turystycznej. Prawie w całej Słowacji rozszerza się i prostuje drogi by nie odstraszały zmotoryzowanych podróżnych lub nie stały się za parę lat za ciasne. Ale w Tatrach intensywność inwestycyjna jest największa, gdyż jest to bez wątpienia najatrakcyjniejszy region turystyczny z wielką przyszłością. Nasze Zakopane stłoczone w wąskiej kotlinie, nabierające charakteru miasta prawie przemysłowego nie może w przyszłości skutecznie konkurować z pięknie rozrzucona, luźną zabudową Łomnicy, Starego i Nowego Smokowca, Strbskiego Plesa i wielu, wielu innych miejscowości otaczających pięknym łukiem południowe stoki Tatr.

Ale również wiadomo, że turysta w każdym kraju szuka czegoś innego — jakiejś niepowtarzalnej atmosfery, oryginalności. I tylko należy podziwiać Słowaków za eksponowanie swojego folkloru, za mądre sprzedawanie słowackiej architektury, stroju, pieśni, potraw itp. Żal bierze, gdy się wspomni „lokale gastronomiczne" (bo trudno to inaczej nazwać) w Cisnej, Czarnej, Lutowiskach — słowem na całym bieszczadzkim szlaku — gdy widzi się obskurne „typowe" baraki gospód wiejskich w całym województwie, w których folklor do używania mocnej łaciny się ogranicza, a nowoczesność polega na szuraniu żelaznymi krzesłami po kamiennych posadzkach. Tak jakbyśmy w tym kraju nigdy nie mieli karczm ludowych, zajazdów. Dużo złego już się stało, ale może jeszcze coś się da zrobić coś jeszcze uratować w tej dziedzinie. Tymczasem jednak — graj Cyganie, bo mi niewesoło.

JAN GRYGIEL

Jeśli ktoś zechce mi zarzucić, że na podstawie obrazu bazy turystycznej w Wysokich Tatrach wyciągam wnioski obejmujące całą Słowację, musza go uprzedzić, że wędrowałem przez Spisz, Zemplin, Gemer, Sarisz, czyli po całej wschodniej Słowacji i wszędzie spotykałem prawie te same zjawiska — baza turystyczna kosztowna, ale o wysokim poziomie i narodowych cechach.

Finał turnieju wiedzy o polskim filmie 25-lecia PRL

Dla uczczenia srebrnego jubileuszu Polski Ludowej Centrala Wynajmu Filmów i Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Metalowców w Rzeszowie zorganizowali dla pracowników WSK Rzeszów i Mielec, Zakładów Metalowych w Nowej Dębie i Fabryki Autobusów w Sanoku „Turniej wiedzy o polskim filmie 25-lecia PRL". Impreza miała na celu zapoznanie środowisk robotniczych i pracowniczych z problematyką ideową, społeczną i artystyczną zawartą w polskiej twórczości filmowej w 25-leciu PRL. Turniej miał charakter masowy, odbywały się eliminacje wydziałowe, ogólnowydziałowe i półfinałowe. Uczestnicy tych eliminacji wykazali się dużą znajomością filmów polskich.

Dzisiaj w Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie odbędą się finały, w których 4 drużyny będą walczyć o zdobycie I miejsca. Impreza odbędzie się o godz. 16 z atrakcyjnym występem artystycznym zespołów ZDK.

J. Ł.

Gdzieś wyłazi z nory stara praca seminaryjna — „Ruy Blas" Wiktora Hugo, na nią nakłada się nerwowa twarz Gerard Philippe'a i bilet pieczołowicie zachowany z jaskółki Teatru Słowackiego oraz ta wędrówka przez planty z Fanfanem (a był wtedy listopad, w „zabłoconych butach z resztką słońca w sercu"), tu wykład starego profesora, namiętnie czytani „Fałszerze" — jakiś skrawek pięknego zdania, jeszcze dziś się poniewierający fragment notatki o Renanie; wyrzucić ich wszystkich? Zostawić? Po co zostawić? A jeśli wyrzucić — to nigdy nie wróci taka chwila, jak dzisiejsza; życie się uporządkuje i w tym porządku zagubi zapachy, spojrzenia, echa słów. Zostawiam.

Zresztą w ogóle nie lubię wyrzucać szpargałów. Znasz mój dom i te w nim zakamarki, gdzie bytują wszyscy święci szpargałowie, na nic nieprzydatni, jak zresztą każdy święty nie bywa na nic przydatny, ale dający to cudowne poczucie bezpieczeństwa, że nie wszystko musi w życiu przepaść bez wieści i że po latach jakiś powracający ślad naprowadzi na niepowtarzalną godzinę. Że pozwalając mu się nieść bezwolnie w bezczynnej chwili, zawędrujemy w inny czas, popatrzymy sobie nań z perspektywy tysięcy godzin, które go przywaliły i powiemy: — nie był zły.

Bo właściwie nic w życiu nie bywa złe absolutnie, poza śmiercią. Każde inne zdarzające się przypadki tworzą z nas Doświadczyńskich, mocniej stąpających po ziemi i silniej z nią związanych. Gdyśmy byli nieduzi, ot, szkraby po dachach i drzewach hopsające, z ziemią kojarzył się częściej brud aniżeli chleb, jabłko czy mleko. W szpargalii znalazłam pamiętnik z lat chmurnych; nie ma w nim drzew, ni ptaków — są inni chmurni, łzy rzęsiste i marzenia w pęczkach, jak zdrowe rzodkiewki powiązane. W marzeniach bytują podróże, wolność jakaś mistyczna, bo nie wiadomo co oznaczająca, uczuć jak liści nie zliczysz, konkretne prognozy pogody złączone z konkretnymi wypadami za miasto, jakiś sen o sukni, literacki ideał, mężowski ideał, zawodowych ideałów mało, przy tym niesprecyzowane i skrajne oraz przywiązane do miejsc w Polsce najpiękniejszych. Znasz je potrosze, byłeś wszak z tych, którym otwierało się sztambuchy w listopadowe wieczory, w samotnych przyjaciół rozmowach braliśmy pod światło te marzenia i — pamiętasz — kurczyły się jakoś, niepozorniały, kiedy trzeba nam było je nazwać, urealnić. Bo życie — to było jedno, a fikcje nasze własne — drugie. Drugie już wtedy bywało piękniejsze od życia, ale dziś za dobrze znamy oboje smak fikcji, by pozwalać jej na panoszenie się po tym obszarze, który nam z życia pozostał. Co najwyżej nastawieni na wzniecenie wielkiego tornado w szpargalii, zastygamy ze szpargałem w ręku na jedną chwilę.

Ot, trzymam tu tableau maturalne — jacy młodzi są jeszcze owi profesores, do których żeśmy z głupia frant przylepiali dziwoląg z łacińską końcówką „mamutes", historyk z nieodłączną fajką w zębach, strzelający dowcipem i załatwiający poszczególne panowania władców dosadnym „potem wziął i umarł", francuska o nogach Marleny, poczciwa pani od robót, która przepowiadała mi ponurą przyszłość, fizyk — skrzypek wirtuoz — co tylko rezonans potrafił nam wytłumaczyć poprzez Haendla, astronom wesoło pląsający pośród 36 żeńskich gwiazd, mdłym zaledwie światłem reagujących na jego tezy! Czy mógł był przewidzieć, że doczeka ludzkiej inwazji na Księżyc i że to nastąpi zanim 36 tępot zdąży się gruntownie zestarzeć?

I wreszcie ze szpargalii wynurzają się zdjęcia nowsze — ale też jakieś obce, postarzałe. Bo oto stoję na ulicy Słowackiego, za mną pusto, pode mną błoto — nie ma punktowców, nie ma szerokiego chodnika. A tu oparty o mały mostek (pamiętasz — ten wylotowy na Warszawę?) Ty ładnie zadumany, a za Tobą piętrzą się traktor z furgonetką i jest tłok jak na Marszałkowskiej w Warszawie nie w Rzeszowie; zmieniło się miasto. Niejedno zresztą — powiada moja szpargalia. Do szkoły mojej dawnej nie wiedzie pusta po obu stronach ulica z wielkimi drzewami: wycięte w pień zrobiły miejsce wieżowcom. Efektowne jak z neorealistycznego filmu ruiny będzińskiego zamku króla Jana przepadły w mrokach lat i są tylko jeszcze na moim zdjęciu. A centrum Katowic z naszego pierwszego teatralnego wypadu i dziś? A nasze surrealistycznie zagubione postacie w pustce Placu Teatralnego Warszawy? Gdzie ruszysz szpargalię odmłodzone miasta i postarzali ludzie, a w tej antynomii smak wspomnień i wzruszenia.

Upycham je na koniec w paczki, koperty — wiążę na nowo tasiemką, spinam spinaczami, zostawiam. Obok góra bogactwa do wyrzucenia. Jak zwykle pastwą padają tygodniki, sterty tygodników. Gdzieś brązowieje „Widnokrąg", kiedy był jeszcze „Nowinami Tygodnia", gdzieś znajome zdanie, moje własne zdanie, na które zżymam się, że tak niedoskonałe, bądź które czytam ze zdziwieniem, żem i o tym pisała. I znowu Gerard Philippe młodziutki z „Diabła wcielonego" i moje pracowite wywody o nim — to już do śmierci; i jakieś niezdarne opowiadanie, i jakiś wielgachny artykuł — tak nudny, że mróz idzie po krzyżu; i jeszcze felietonik — może by zachować? — A potem już koniec, dno, porządek. Tornado przeszło.

Uspokojona, siadam, żeby napisać do Ciebie; za oknem zima moknie pluchą, a w szpargalii upchanej po zakamarkach zupełnie cicho. Są jeszcze ocalałe zdania, nieznane zapachy, strzępy uczuć — tym razem nieprzejrzane, zadomowione w tym niezgrabnym usypisku, nieruszane od wielu lat — zostawione na rok przyszły i przyszłe tornada. Nie sądzisz, Drogi, że bezpieczniej z tym zapleczem, nawet jeśli dopływ powietrza dziś trochę mniejszy?

KRYSTYNA

ADAM JANUSZ BIEŃ

KOLĘDNIK

OPOWIADANIE

Gdy wieczorem zimowym zachrzęści śnieg pod oknami domu i ktoś zapuka do drzwi, znowu pomyślę, że to on, choć od wielu lat nigdzie go nie spotykam. Podobno wyjechał na Zachód i wiedzie mu się całkiem nieźle.

Jeden z naszych widział go na stacji we Wrocławiu i chciał doń zagadać po sąsiedzku, ale nic z tego nie wyszło. Kolędnik, odziany bogato w skórę zagraniczną, w komisie kupioną, obrócił się na pięcie i zniknął w tłumie jak kamień rzucony w wodę. Tamtemu na peronie gęba otwarta została, sadzy mu z parowozu na język nasypało, ale — nie zadowalając się takim obrotem rzeczy — miastowym ludziom po nogach chamskim butem depcze, rozgarnia rękami tłum i goni za tą skórą zagraniczną, wołając głośno:

— Zaczekaj no, Kolędniku, krajanie kochany! Wszak ci bielmo na oczy nie padło, musisz mnie poznać. Andryjaszek jestem, stary Andryjaszek Franciszek, trzeci dom od kościoła...

Andryjaszek wtedy na krótko do Wrocławia pojechał niby to syna odwiedzić. Tak opowiadała na prawo i lewo jego żona, lecz każdy zdrowy na umyśle człowiek, który miał cierpliwość wysłuchać jej trajkoczącego głosu, owszem, przytaknął, głową na znak potwierdzenia skinął, jednakże w głębi ducha swoje myślał: baj-baju, kobito, niech ci będzie, że on o synka taki troskliwy, mimo że przed wyjazdem co innego mówił, żegnając się w gospodzie z koleżkami serdecznymi: gajowym Kicułą i Wacusiem spod lasu.

Andryjaszek pięścią w stół walił, że aż piwo w kuflach chlupotało i krzyczał donośnie na całą knajpę:

— A bo to ja stary czy co? Dziad podagra wstrząsany? Pięćdziesiątkę z okładem ledwie przeskoczyłem, ale to wcale nie jest dużo! Ojciec, świętej pamięci, sześćdziesiąt dwa miał, jak się po raz wtóry żenił. Mogli ojcowie, mogę i ja! Rozwód, koleżkowie serdeczni, ze swoją starą biorę. Życie rozpocznę od nowa, bo jak rozwód wezmę, to sam na świecie nie zostanę. Krzepę męską jeszcze w sobie mam, każdej poradzę, daj Bóg, i nikt mnie nie powstrzyma. Kto mi zabroni życie od nowa zaczynać, pytam, no kto?! — Wali Andryjaszek kułakiem w stół, a gajowy Kicuła i Wacuś spod lasu starają się mu przetłumaczyć, że lepiej jednak byłoby tutaj zostać. Powietrze zdrowsze niż gdzie indziej — mówią — telewizor w świetlicy naprawiony i gra jak należy, nowy kierownik gospody na bufet ma oko, panienki nalewają do kieliszków sprawiedliwie po kreskę, co należałoby pozytywnie zaznaczyć na najbliższej sesji gromadzkiej rady narodowej, lecz kto na zebraniu w dyskusji głos zabierze, jeśli on, Andryjaszek Franciszek, działacz społeczny i najbardziej wygadany chłop w okolicy, wyjeżdża gdzieś w obce strony.

— Zostań, Franek — radzi gajowy. — Jakoś powoli uładzisz się ze swoją.

— Zostań — powtarza Wacuś spod lasu — bo na lepsze i tak sobie nie zamienisz...

Andryjaszek się zacietrzewił:

— A ty czego kraczesz?

— Swoje wiem.

— Jak wiesz, to mów!

— Nie chcę cię zmartwić.

— Mnie nic nie złamie — przechwala się Andryjaszek. — Zeszłorocznej zimy nogę mi jodełka przygniotła i wykurowałem się całkowicie. Nawet nie kuleję.

— Przygniotła cię — pyta Wacuś — do ziemi przyparła?

— Jeszcze jak! Gajowy świadkiem.

— Pan gajowy widział? — nagabuje Wacuś.

— Na własne oczy — mówi Kicuła. — Ścięło chłopa z nóg jak kosą.

— A w łeb go nie stuknęło? — pyta Wacuś. — Gdzieś w okolicy rozumu, znaczy się w mózg?

Posprzeczali się koleżkowie ostro przy pożegnalnej wódce. Strzemiennego nawet na drogę nie wypili. Każdy honorowo rachunek za siebie zapłacił i rozeszli się w swoje strony: Wacuś do chałupy pod lasem, Kicuła do gajówki, Andryjaszek zaś na przystanek pekaesu.

We Wrocławiu długo nie zabawił. Mówi, że mu tamtejszy klimat nie służył, lecz jego żona, co nawet tajemnicy spowiedzi utrzymać przy sobie nie potrafi, szepcze kumoszkom w sekrecie: — Ze synową miał zatarg. Modliłam się, moi wy złoci, przez trzy niedziele świece do kościoła kupowałam i łaski oczywistej w nagrodę doświadczyłam, bo jak wrócił, to siedzi i o żadnych podróżach już nie wspomina.

A synowa mu dojadła, oj, moi wy złoci, dopiekła do żywego! Wszystko przez ten parkiet dębowy, wypastowany na glanc. Kupiła mojemu staremu papucie filcowe, żeby błota ze dwora nie nosił, lecz on od maleńkiego do takich wygód nie przyzwyczajony. Po sporty trzeba do kiosku skoczyć, do sklepu wyjść albo mu raptem piwkiem zapachnie i kłopot: buty musi wciągać.

Raz znowu, zapomniał się zupełnie. Wyelegantowany, w koszuli pozapinanej na wszystkie guziki, pod krawatem, dopiero na ulicy połapał się, że w papuciach idzie na imieniny czy jakąś inną uroczystość u krajana naszego, co na inżyniera się wykształcił i synek nasz w fabryce mu podlega. Zdenerwowali się wszyscy po kolei, nagadali sobie głupstw, do sprzeczki doszło i mój bez pisania listów z powrotem wrócił, ale o synowej nie wolno przy nim słówkiem pisnąć, tak się zawziął.

Andryjaszek nieco inaczej wrocławskie przygody wspomina:

— Przyjechałem w nocy — mówi. Świateł tam tyle na dworcu, że ślepia mruże jak do słońca i rozglądam się wokół, w która stronę do miasta trzeba iść. Za kolejarzem patrzę, żeby się poinformować, a tu niczym spod ziemi znajoma gęba wyrasta. Coś mi się widzi, że skądś ją znam. Przypatruję się uważniej, w pamięci grzebię i nagle mnie olśniło: — Kolędniku — mówię, bo jego rodowego zapomniałem i tylko przezwanie na język mi przyszło. — Skąd ty tutaj, krajanie? Z nieba mi spadłeś w tym wielkim mieście! Pobłądziłbym bez ciebie, ratujże w potrzebie sąsiada...

Czekam na godne powitanie, zaś ta kanalia milczy, ani słówkiem nie odburknie. Spode łba na mnie spojrzał i ucieka.

— Kolędniku! — wołam za nim. — Nie poznajesz mnie, Andryjaszek jestem...

On w tłum. Ja też. Nie spuszczam wzroku z tej skóry żółto błyszczącej, przepycham się nie bacząc na ludzkie psiokrzenie i dopadam go wreszcie koło wyjścia.

— Coś ty się taki ważny zrobił, że z sąsiadem nie chcesz grzecznie porozmawiać? — pytam. — We łbie ci się przewróciło, Kolędniku...

Odwraca się do mnie twarzą i widzę, że to nie on. Skóra mnie zmyliła. Taka sama jak u Kolędnika na grzbiecie. Nie wiem, co powiedzieć, a tamten złości się nie na żarty. Niektórzy przystanęli i gapią się na nas.

— Czyś oszalał, człowieku — napastuje mnie ten w skórze — czego chcesz? Jakiego Kolędnika szukasz w kwietniu, trzy dni przed Wielkanocą. Idź swoją drogą i nie zaczepiaj spokojnych ludzi, bo zawołam milicję!

Rys. J. SIENKIEWICZ

Wstyd mi się zrobiło, przepraszam go stokrotnie za swoją omyłkę, ale pewien jestem, że Kolędnika widziałem, przysięgać gotów jestem na wszystkie świętości, gdyż rozpoznałbym go wszędzie, tak samo jak wy.

Dobrze pamiętamy człowieka, o którym mówi Andryjaszek. Każdy go znał w naszej wsi, a nawet w innych o nim słyszeli. Sprawa to była bowiem głośna na cały powiat. W sądzie ludzie się popłakali, gdy on się kajał i o surowy wymiar kary prosił sam dla siebie. Później, po latach, nie było takiego, co by mu litościwego słowa odmówił i kieliszka wódki nie postawił.

Kolędnik łamał uświęcone tradycją zwyczaje. Popijał tego w adwencie, aby podczas świąt nie wziąć do ust ani kropelki. Co się go ludzie nabłagali! Kolorowe wódki pod nos mu podsuwają; jeden trzyma kieliszek w ręce, drugi kiszonego ogórka na widelcu.

— Przekąsisz i nic nie poczujesz — zachęcają. — Pozwól się ugościć, Kolędniku!

Kręci odmownie głową.

— Dziękuję wam za dobre serce, ale nie miejcie żalu, że z waszej gościny nie skorzystam. Pożyczyć wam tylko przyszedłem, opłatkiem się podzielić.

I tak rok w rok, odkąd pamięcią w czas miniony sięgam. Słyszę chrzęst śniegu pod oknami, ciemny cień przesuwa się po szybie, ktoś szura butami na schodkach, puka do drzwi. Mróz wchodzi do ciepłej izby, a razem z nim Kolędnik zziębnięty, bo o barszczu jedynie chodzi, wódka nie rozgrzany.

— Daj wam Boże wszystkiego najlepszego, a mnie zapomnienie.

Dziadek Andryjaszek podrywa się do wilijnego stołu.

— Siadajże z nami Kolędniku, sąsiedzie, posil się do syta w ten wieczór świąteczny. Rybki pokosztuj i gardło dobrze wódeczką przepłucz, aby w nim ość nie została.

— Podsuwa Kolędnikowi szklaneczkę napełnioną po brzegi, lecz tamten uśmiecha się tylko nieśmiało, prosząc o wybaczenie.

— Wszak wiecie, że ja nie mogę. Kiedyś to i owszem, nie wzgardziłem.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — mówi Andryjaszek. — Swoje w kryminale odcierpiałeś...

— Pewnie, że odcierpiałem.

— Nieboszczykowi już nie pomożesz.

— Jasne, że nie.

— A widzisz! — cieszy się Andryjaszek. — Czyja racja na wierzchu? Trzeba słuchać starych, oni dobrze radzą. Napij się...

— Jeśli łaska, to szklaneczkę barszczu!

— Barszcz wystygł. Z zimnych potraw jedynie wódka nieszkodliwa.

— Przez nią to wszystko — mówi Kolędnik. — Przez tę harę przeklętą. Barszczu mi dajcie!

— Jak będziesz pił barszcz, to nie zapomnisz. A ty chcesz przecież zapomnieć, nie myśleć o tym, co się zdarzyło nieszczęśliwie...

— Tak — mówi Kolędnik. — Bardzo mi na tym zależy, bo ludzka pamięć jak studnia. Głośnym echem się w niej odbija tamto wspomnienie. Widzę, ciągle mam przed oczyma ten obraz: człowiek leży nieruchomo na śniegu, ja stoję nad nim i krzyczę do chłopaków: — Patrzcie, taki był chojrak, lecz teraz ani drgnie. Każdemu tak będzie...

Cała sala płakała na rozprawie. Kolędnik, chłopak wtedy jeszcze młody i nadzwyczaj zgrabny kawaler, że żadna oczu od niego nie mogła oderwać, zeznawał przed Wysokim Sądem:

— Ja go zabić nie chciałem. Nawinął się pod berło, zwady szukał pijaczyna, zaczepiał bez powodu...

Kolędnik był za Heroda. Berło miał solidne, z mosiężną gałką na końcu. Stuknął raz i wystarczyło. Tamten już nie wstał. Oczami szeroko otwartymi w gwiazdy grudniowe patrzył jakby się dziwił, że takie złociste podczas tej nocy.

Po wyroku, na kilka lat zniknął z naszej wsi. Niektórzy zapomnieli o tej dziwnej historii, ale kiedy pojawił się znowu i zaczął chodzić po domach w czasie świąt, wszyscy ogromnie się nad nim litowali. Bo idzie biedak od chałupy do chałupy jak dziad po prośbie, przez zaspy głębokie brnie, na mróz nie zważa, wszędzie zajrzy, do każdego domu trafi, nawet do Wacusia spod lasu, gdzie drogi nie ma, ale gęby nie otworzy i kieliszkiem wyborowej się nie rozgrzeje; po ludzkich twarzach smutnym spojrzeniem potoczy, dobre słowo przyniesie, na takie samo czeka.

— Nie gryź się, Kolędniku — powie Andryjaszek, chłop rozumny i wygadany. — Co komu pisane, wiadomo: życie i śmierć. Jak się dzieciątko rodzi, radość panuje. Gdy człowiek umiera — smutek. Tak było i jest, i będzie. Winę swoją w kryminale odpokutowałeś, możesz teraz pić z nami.

— Dziękuję za gościnę — rzeknie Kolędnik i to będą ostatnie jego słowa, które zapamiętano.

Nikomu się nie opowiadając, wyjechał cichaczem z naszej wsi.

Andryjaszek mówi, że widział go we Wrocławiu. Powiada, że miał zamiar z nim pogadać i zapytać, czego on tak uciekł nagle, bez pożegnania.

Nic się nie dowiedział. Kolędnik odmieniony, w skórę zagraniczną po miastowemu odziany, udał, że nie poznaje Andryjaszka. Stary nie może tego przeboleć:

— Kanalia się z niego zrobiła — mówi. — Sumienie, bestia, w drogich restauracjach zatracił!

Ale czy to prawda? Ja myślę, że to inaczej trochę. Słyszę ostatnie słowa Kolędnika i to co dawniej powtarzał: — Ludzka pamięć jest jak studnia. U jednych wspomnienia głośnym echem wracają, u drugich toną na dnie. — Jedni muszą ciągle uciekać, drugim zawsze dobrze.

ADAM JANUSZ BIEŃ

Z rzeszowskiego Domu Sztuki

Wystawa rysunków Ireny Wojnickiej

W klubie ZPAP w Domu Sztuki otwarto ostatnio wystawę rysunków Ireny Wojnickiej.

Na zdjęciu: jedna z trzynastu eksponowanych prac pt. „Wieczorna godzina".

Fot. M. KOPEĆ

Marian Janiga

Psycholog pomaga...

Do najmłodszych instytucji pomagających w procesie wychowania młodzieży należą poradnie psychologiczne ostatnio mianowane na poradnie wychowawczo-zawodowe. W oparciu o kilka konkretnych przykładów przedstawię w czym i w jakim zakresie psycholog pracujący w poradni może przyjść z pomocą w rozwiązywaniu trudności wychowawczych. Do poradni zgłaszane są najczęściej dzieci przez rodziców, domy dziecka, szkoły, przedszkola, milicję, lekarzy, Sąd (zwłaszcza przez wydział dla nieletnich) oraz w mniejszym stopniu przez inne instytucje i organizacje społeczne.

Oto jeden z licznych przypadków. Chłopiec K. M. zgłoszony do Poradni przez matkę. Poradnia ze szkoły o chłopcu uzyskała następującą opinię:

„Uczeń K. M. niemal od początku pobytu w tej szkole sprawiał wiele trudności wychowawczych, które z biegiem lat narastały. Do nauki również nie wykazywał chęci. Uczęszcza do szkoły już ósmy rok, a jest obecnie w kl. VI (w kl. V przebywał 3 lata). K. M. jest chłopcem zepsutym moralnie. Używa wulgarnych słów, rozpoczyna ciągle rozmowy na tematy seksualne. Systematycznie pali papierosy, ucieka z lekcji „na papierosa". Pije alkohol i wieczorami urządza bójki ze starszymi chłopcami. Rodzice nie stanowią dla niego żadnego autorytetu, w ogóle ich nie słucha i ich poleceń nie respektuje. Są wobec jego wybryków całkowicie bezradni i bezsilni. Na lekcjach jest gościem — kiedy chce przychodzi do klasy, kiedy chce — wychodzi. Popada w coraz większy konflikt z kolegami (sam zawsze wymierza sprawiedliwość, maltretując swych młodszych i słabszych fizycznie kolegów) i z regulaminem szkolnym.

Nie uczy się w ogóle, zadań nie odrabia. Całymi tygodniami nie przynosi podręczników i zeszytów, dlatego ma prawie z wszystkich przedmiotów oceny niedostateczne. W czasie lekcji niejednokrotnie chodzi po klasie, rzuca papierami i różnymi przedmiotami np. patykiem, linijką itp. Nie reaguje na upomnienia wychowawcy i nauczycieli, wszelkie uwagi na temat swego zachowania kwituje śmiechem. Chłopiec wywiera niezwykle ujemny wpływ na zespół klasowy oraz młodzież całej szkoły, burzy porządek szkoły i pociąga w swe ślady wielu uczniów. Wielu rodziców zwraca się z prośbą do kierownictwa szkoły, by uczeń ten został usunięty ze szkoły. Kierownictwo szkoły i Rada Pedagogiczna uważa, że w/w uczeń winien być jak najszybciej skierowany do odpowiedniego zakładu wychowawczego ze względu na dobro szkoły i uczących się w niej uczniów".

Trzeba podkreślić, że chłopiec ten był już przed kilkoma laty w Poradni Psychologicznej. Stwierdzono wówczas u chłopca lżejszy niedorozwój umysłowy. Rozpoczęto leczenie, a Komisja Selekcyjna wydała orzeczenie skierowujące go do szkoły specjalnej. Rodzice w Poradni zostali pouczeni o konieczności oddania chłopca do tej szkoły. Niestety rodzice leczenie chłopca uznali za zbyt kosztowne i po paru miesiącach przerwali. Nie wyrazili też zgody na umieszczenie chłopca w szkole specjalnej ze względu na duży koszt.

Obecnie sami ponownie przyszli do poradni z prośbą o ratowanie dziecka. Po ponownym przeprowadzeniu badań psychologicznych stwierdzono nadal lżejszy niedorozwój umysłowy oraz zaburzenia charakterologiczne i cechy nerwicowe (m. in. moczenie nocne).

Z rozmowy z matką wynika, że przyczyną niedorozwoju chłopca była tzw. zamartwica w czasie porodu. W tym przypadku jak i w wielu innych rodzice popełnili błąd nie oddając chłopca do szkoły specjalnej, gdzie nauka jest dostosowana do mniejszych możliwości umysłowych dzieci. W tym wypadku chłopiec w starszych klasach normalnej szkoły nie mogąc opanować materiału nauczania (nie z własnej winy) robi wszystko, aby opuścić środowisko, które jest dla niego nerwicorodne.

Obecnie ponownie skierowano go na leczenie do Poradni Neurologicznej i przekonano rodziców o konieczności umieszczenia go w szkole specjalnej z przyuczeniem do zawodu. Chłopiec marzy o zawodzie tokarza. Powstaje jednak pytanie — czy rodzice chłopca nie przeprowadzili na nim eksperymentu wychowawczego, który jest zbyt ryzykowny i zbyt kosztowny. Niemało też trudności dla nauczycieli i wychowawców przysparzają uczniowie z **pogranicza niedorozwoju umysłowego i ociężali umysłowo.** Bardzo często u uczniów tych występują cechy nerwicowe, jąkanie, chwilowe zahamowania psychiczne oraz różne trudności wychowawcze. Dzieci ociężałe umysłowo w klasie I nie robią postępów w nauce, ponieważ nie nadążają za klasą. To zwolnione tempo myślenia upodabnia ociężałe umysłowo dziecko do debila i trudno jest nauczycielowi w początkowym okresie nauki wykryć różnicę, jaka jest istotnie między stanem ociężałości umysłowej a debilizemem. Upośledzony umysłowo najczęściej nie potrafi dojść do należytych wniosków w rozumowaniu i przeważnie nie przekracza tej bariery myślenia, podczas gdy ociężały umysłowo dojdzie do nich, ale po dwukrotnie nieraz przedłużonym czasie, często „za późno", biorąc pod uwagę tempo pracy szkolnej. Dzieci ociężałe umysłowo nie wykazują aktywnych zainteresowań, ciekawości poznania, a jeszcze trudniej jest im dobrać najwłaściwsze i najskuteczniejsze sposoby rozwiązywania zadań. Pogłębiają wtedy jeszcze swój zwolniony tok myślenia, ponoszą porażki i wycofują się z pracy szkolnej. Dzieci te wymagają szczególnie troskliwej opieki tak ze strony nauczycieli jak i rodziców. Rodzice winni w domu wytworzyć dla tych dzieci pogodny nastrój, zmierzający do dostarczenia dodatnich przeżyć emocjonalnych, częściowo zrekompensować niepowodzenia szkolne. Przy odrabianiu lekcji należy pomagać, udzielać wskazówek, zachęcać, pogłębiać wiarę we własne siły. Pozytywnie oceniać wykonane zadania (mimo usterek), — dziś już wyszło o wiele lepiej, nawet dobrze. Należy pamiętać, że dzieci te pracują w zwolnionym tempie (nie należy ich przyśpieszać, robić uwag), robić natomiast przerwy podczas pisania czy czytania (czytać dziecku). Nie zaniżać osobowości dziecka, porównując go np. z sylwetką aktywną brata lub siostry (nie zawstydzać).

W szkole również należy pamiętać o stopniowaniu trudności w stosunku do tych dzieci. Duży problem wychowawczy stanowią dzieci z nadpobudliwością psychoruchową. Dzieci te są zbyt hałaśliwe, bardzo swobodnie zachowują się, często narzucają sie (bez dystansu), wobec kolegów są agresywne, są niespokojne (nie mogą usiedzieć spokojnie na lekcji), wszystko muszą „mieć w ręce", tupią nogami, rzucają kredą o ziemię, gdy im się złamała, obgryzają paznokcie itp. Praca nad dziećmi nadpobudliwymi psychoruchowo (uczuciowo) wymaga specjalnej troski wychowawczej rodziców, a powinna obejmować ona:

— W pierwszej fazie zwrócenia uwagi na samą czynność, działanie celowe, a nie rezultat. Drugi etap — kłaść nacisk na ćwiczenie uwagi, np. przy oglądaniu obrazków i historyjek obrazkowych, wdrażać do ładu i porządku (ćwiczenia porządkowe w domu — wspólne sprzątanie). Powierzać samodzielne prace, zwiększać wytrwałość w pracach wymagających koncentracji wysiłku. Stosować zajęcia uspokajające — spacery, oglądanie zdjęć, obrazków. Czynna, a nie tylko słowna „ucz się" — opieka nad dzieckiem uczącym się — odrabiającym zadania — przy zastosowaniu konkretnej pomocy — z uwzględnieniem przerw, częstych ćwiczeń odprężających, a ze środków wychowawczych stosowanie zachęty, pochwały, aproboty. Nie zwracać uwagi dzieciom w postaci upomnień („siedź cicho", „nie biegaj" itp.), ponieważ ten system wychowawczy podnieca dziecko. Plan zajęć domowych, godzinowy — konkretnie przestrzegać, aby usunąć przypadkowość, wdrażać do systematyczności, ale nie zwiększać tempa pracy.

Osobny problem wychowawczy stanowią dzieci bardzo zdolne o wysokim ilorazie inteligencji. Niektóre z tych dzieci nudzą się na wielu lekcjach, ponieważ nauczyciele nie mogą stawiać przed całą klasą, w której są dzieci o różnych możliwościach umysłowych zadań zbyt trudnych. Dlatego też wielu psychologów i pedagogów stoi dziś na stanowisku tworzenia w normalnych szkołach klas dla dzieci ociężałych umysłowo z jednej strony oraz klas dla dzieci wybitnie uzdolnionych.

Fot. J. MENDYCHOWSKI

Konkurs pod hasłem: „Rzeszowszczyzna — awans i kontrasty"

Konkurs na reportaż ogłoszony przez redakcje miesięcznika „Profile", Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych, Wydział Kultury Prezydium WRN oraz zarządy oddziałów SDP i ZLP w Rzeszowie został przedłużony do końca lutego 1970 roku. Organizatorzy przypominają, że celem konkursu jest ukazanie awansu i specyfiki Rzeszowszczyzny. Mile widziane będą reportaże traktujące o walce z okupantem, zwłaszcza w końcowym okresie wojny, gdy organizacje Polski Podziemnej przygotowywały się do przejmowania władzy, o którą walka w Rzeszowskiem była długa i krwawa. Pożądane są również materiały traktujące o okresie odbudowy zniszczeń wojennych i uprzemysławiania, ze szczególnym uwzględnieniem późniejszych, dużych inwestycji, dzięki którym nastąpiło szybkie tempo rozwoju gospodarczego, dokonały się przeobrażenia w dziedzinie oświaty i kultury.

Mogą to być reportaże o ludziach i zdarzeniach, przedsiębiorstwach, miejscowościach czy całych rejonach, np. zagłębie siarkowe, Bieszczady i in. Materiały te ukażą awans poszczególnych miejscowości, który nastąpił w okresie 25-lecia Polski Ludowej, a także specyfikę rejonów, występujące w nich kontrasty oraz potrzeby.

Prace, które dotychczas nie były publikowane drukiem i w radiu, w objętości do 20 stron znormalizowanego maszynopisu, w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem, należy nadsyłać pod adresem redakcji miesięcznika „Profile", Rzeszów, pl. Wolności 1 (w zaklejonej kopercie opatrzonej godłem należy podać nazwisko i imię oraz adres autora).

Przewiduje się następujące nagrody:

I	7 000 zł
II dwie po	4 000 zł
III trzy po	3 000 zł
ponadto 4 wyróżnienia po	1 000 zł

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Nagrodzone prace będą opublikowane w „Profilach" oraz wejdą do zbioru reportaży o awansie i kontrastach Rzeszowszczyzny.

W skład jury konkursu wejdą przedstawiciele instytucji i stowarzyszeń twórczych, współorganizatorzy konkursu oraz dziennikarze i literaci z innych województw.

KSIĄŻKI

STUDIA RELIGIOZNAWCZE. Nr 1—2. KIW. s. 248, cena 30 zł, (1000 egz.) Polska Akademia Nauk, Instytut Filozofii i Socjologii, Zespół Religioznawstwa rozpoczął wydawanie nowego periodyku. Na treść składają się artykuły (np. Józef Keller: Problem rewaloryzacji świętości i mitu we współczesnym religioznawstwie) oraz recenzje. Nie jest to popularne przedstawienie zagadnienia, ale dla fachowców materiał doskonały.

Z POLA WALKI. Kwartalnik poświęcony dziejom ruchu robotniczego. Nr 2 (46) i 3 (47). Cena każdego numeru 20 zł, nakład 2 500 egz.

Jak zwykle szereg ciekawych materiałów związanych z tematem.

1944... KIELECCZYZNA W WALCE O LEPSZE JUTRO. KIW. s. 256, cena 42 zł, (3 000) Staraniem KW PZPR w Kielcach.

„Książka jest dowodem pamięci o ludziach, o zdarzeniach sprzed lat — pisze w słowie wstępnym I sekretarz KW PZPR w Kielcach Tadeusz Rudolf — jest zachętą do ofiarnej pracy dla Polski Ludowej".

Władysław Bortnowski: ZIEMIA ŁÓDZKA W OGNIU. 1 VIII—6 XII 1944 rok. Wyd. Łódzkie. s. 206, cena 15 zł, (2 250). Po skrótowej genezie I wojny światowej i przedstawieniu układu sił w tzw. „operacji łódzkiej". Ilustrowane.

Wincenty Iwanowski: BITWA O RZYM 1944. Planowanie strategiczne. Sztuka operacyjna. Taktyka. MON. s. 312. cena 44 zł. (6 000).

Zaciekawi nie tylko tego, który zajmuje się dziejami II wojny światowej. Stara się odpowiedzieć na pytania: dlaczego wojska sojusznicze wylądowały we Włoszech? Jaki był przebieg bitwy o Rzym? Jaką rolę odegrał II Korpus w natarciu na Monte Cassino? Mapy.

Literatura dla dzieci i młodzieży.

Kornel Makuszyński: BEZGRZESZNE LATA. Wyd. III. Wyd. Literackie. s. 188. cena 15 zł, (60 000 egz.). Kolejne wznowienie powieści o młodych, nie tylko dla młodych, pióra autora przygód „Koziołka matołka".

Arkady Fiedler: WYSPA ROBINSONA. Iskry, wyd. IX. s. 232. cena 22 zł, (50 000 egz.).

Ciekawe przygody, jakich doznał na bezludnej wyspie niejaki Jan Bober, przez niego samego spisane. Ilustracje.

Leonard Życki: KAPITAN WOJTEK. MON. s. 264, cena 16 zł, (10 000 egz.).

Powieść spod znaku płaszcza i szpady. Barwne przygody chłopa pańszczyźnianego, kapitana we flocie holenderskiej. XVII wiek.

Kazimierz Bieroński: W SŁUŻBIE ZŁOTEGO LWA. Wyd. Łódzkie. s. 342, cena 28 zł, (20 000 egz).

Też powieść z epoki płaszcza i szpady. Romantyczne przygody u schyłku XVII wieku.

Irena Przewłocka: 7 SZLAK WIELKIEJ PRZYGODY. Wyd. Morskie. Wyd. III poszerzone. s. 244, cena 25 zł, (10 000 egz.).

Opowiadania, których akcja rozgrywa się w różnych częściach kuli ziemskiej. Wesołe, przygodowe. Nieraz z zadumą. Czyta się.

Edward Kopczyński: ŚLADY NA ŚNIEGU. Wyd. Łódzkie, s. 200, cena 18 zł, (30 000 egz).

Zaczyna się tak: „Wakacyjna przygoda bardzo zbliżyła Jacka i Michała. Postanowili, że w nowym roku szkolnym, w klasie siódmej będą siedzieli razem".

Sensacyjne.

Janusz Głowacki: DZIEŃ SŁODKIEJ ŚMIERCI. Iskry. s. 40. cena 8 zł, (100 000 egz.). W serii „Powieść co miesiąc".

w czerwonym taunusie trup mężczyzny. Kto to jest? Kto go zabił?. Nad tą zagadką biedzi się porucznik Goraj z MO.

Georges Simenon: MAIGRET I TRUP MŁODEJ KOBIETY. Przeł. L. Kossobudzki. Iskry. s. 144, cena 18 zł, (50 000 egz.).

Wielu czytelników zna już komisarza Maigreta z francuskiej policji kryminalnej. I tym razem zagadka poważna. Tło obyczajowe. (Srebrny kluczyk).

Krystyn Ziemski: CENY ŻYCIA. MON. s. 160, cena 10 zł, (30 000 egz.).

W serii „Labirynt" znów ciekawa pozycja mówiąca o pracy naszego kontrwywiadu. Ciekawą zagadkę odszukania i zlikwidowania szpiegowskiej siatki rozwiązuje major Bieżan. Również tło obyczajowe.

Poezja.

Mieczysław Jastrun: GODŁA PAMIĘCI. PIW. s. 96, cena 10 zł.

Zdzisław Polsakiewicz: NA PAMIĘĆ. Wyd. Morskie. s. 56, cena 10 zł.

Jadwiga Tyrankiewicz: BIEG PRZEZ WYOBRAŹNIĘ. Wyd. Poznańskie. s. 138, cena 10 zł.

Miroslav Holub: MODEL CZŁOWIEKA. Przeł. Jerzy Pleśniarowicz. PIW. s. 58, cena 10 zł. Poeta i eseista czeski.

Guenter Kunert: NIE TYLKO DLA MNIE. PIW. s. 60, cena 10 zł. Poeta niemiecki. Tłum. zbiorowe.

Nowości Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej

Z DZIEJÓW WYCHOWANIA WOJSKOWEGO W POLSCE W LATACH 1939—1945. s. 572. cena zł 35 (4 tys.).

Henryk Michalski: PIERWSZE 100 GODZIN WOJNY NUKLEARNEJ. Wyd. II. s. 367. cena zł 25 (5 tys.).

Nowości „Książki i Wiedzy". Seria z Kolibrem

Diderot: TO NIE BAJKA. Opowiadania. Tłum. T. Boy-Żeleński, s. 137. cena zł 4 (66 tys.).

Eliza Orzeszkowa: JĘDZA. s. 189. cena zł 4 (66 tys.).

Józef Ignacy Kraszewski: PROFESOR MILCZEK. s. 116. cena zł 4 (66 tys.).

Miquel Cervantes: ZAZDROSNY ESTREMADURCZYK. Tłum. Z. Miller. s. 167. cena zł 5 (66 tys.).

Kartki dla Ewy

TRADYCJE

Kiedy w sklepach pojawią się różowe szynki, pęta kiełbas i schaby, kiedy rozejdzie się woń zamorskich owoców i bakalii zewsząd słychać nawoływania: Ludzie, nie obżerajcie się! Szanujcie własne wnętrza! Inaczej nie zbawi was nawet ekipa doktora Barnarda.

Ale nam cholesterol niestraszny, tudzież miażdżyca i ponure widmo marskiej wątroby, cały bowiem rok żyjemy nad wyraz higienicznie. Pigułki w kieszeni, ziółka w szufladzie, aloes na oknie i termofor w szafie. Naszą ukochaną lekturą są tablice kaloryczne, skala wagi i podziałka centymetru. Teraz jednak milsze nam inne widoki.

Talerz pełen barszczu, uszka w tym barszczu malutkie i zgrabne, pięknie prześwitujące przez buraczaną czerwień. Trzeba ich zjeść cały mendel, aby nie sprawić rodzinie przykrości. Przecież te smakołyki lepią raz na rok z wielkim poświęceniem. Po barszczu rybka w galarecie, potem smażony karp. Kilka solidnych, chrupiących kawałków, a nie mizerny szczątek ogona wysuszony na patelni. Po rybach kolej na zawijaniec z grzybami, kapustą lub grochem, na makiełki, a może i „kutię" z furą konfitur, rodzynków i bakalii, na sernik, tort czekoladowy, tort z kawy „marago", na małe lukrowane pierniczki, ciasto drożdżowe z powidłem, galaretkę z cielęcych nóżek, comber w buraczkach, gęsie udko, czterotygodniowy bigos z golonką, indyczą pierś i śledzika w oleju. Wiadomo, że ryba lubi pływać i bez płynów czuje się nader kiepsko. Wręcz zdycha! Nie moczmy ryb! To nieludzkie. Trzeba im odpowiedniego żywiołu.

Inne gusty ma płotka, inne śledź. Rekiny także miewają swoje zachcianki. Znawcy bezbłędnie rozszyfrowują zapotrzebowania, wiedzą co komu się należy, bo nie tylko ryby lubią pływać. Wszystkie zwierzęta chętnie baraszkują w wodzie, niektóre nawet w mętnej.

Świąteczny alkohol komentarzy nie wymaga. Wiemy doskonale jak błyszczą oczy, jak swędzi podniebienie i ręka drży na widok jarzębiaku, żubrówki, czystej czerwonej lub innych spirytualiów pracowicie wystanych w kilomerowych kolejkach.

Pozbawić się takiej przyjemności mogą wyłącznie masochiści, asceci, ponuracy faszerowani pesymizmem. Przecież my jesteśmy zupełnie inni. Zdrowi, weseli, dowcipni, z gestem... Są także święta!

Rzecz zrozumiała, że to bardzo kosztowna impreza. Nawołują więc przezorni: Ludzie! Szanujcie własne kieszenie! Mają ograniczoną pojemność! Święta trwają dwa dni, żyć trzeba cały miesiąc. Może jeszcze dać buty do szewca, zapłacić hydraulika i wstawić sztuczny ząb. Niebezpieczeństwa czyhają na krótkowzrocznych. Patrzcie na długie dystanse! Oszczędzajcie!

Ale my oszczędzamy, naprawdę. Żyjemy z ołówkiem i podręcznikiem gospodarstwa domowego w garści. Mamy zeszyty przychodów i rozchodów tylko saldo nie zawsze w nich gra. Chyba dlatego, że z czynszu pożyczamy na mięso, a z mięsa na kosmetyczkę. Licho wie jak to bywa z tym budżetem, zawsze krótkim. Mimo wszystko jednak, oszczędzamy.

W styczniu i lutym z konieczności. W marcu na wielkanocną szynkę, w kwietniu na cztery wiosenne kapelusze, w maju na krawcową, w czerwcu na urlop, w sierpniu na weki, we wrześniu na kożuch, w październiku dla zasady, w listopadzie — święta i sylwester za pasem.

Wtedy jadamy galop-zupki, kiszoną kapustę i ziemniaki w mundurkach. Te wiktuały regenerują kieszeń i wychudzają biodra. Wątroba i serce nawet nie pisną, ale system nerwowy troszkę szwankuje. Niestety, trudno by wszystko w życiu grało unisono.

Dlatego przestrzegają nas: Ludzie szanujcie zdrowie! Patrzcie perspektywicznie! Wyobraźnia, rzecz cenna! Zawsze chętnie patrzymy w przyszłość dalszą niż własne podwórko. Widzimy święta iście staropolskie...

A potem, przez miasto, na syrenie pędzi karetka. W środku delikwent zwija się z bólu i prawie już patrzy na księżą oborę, tymczasem w szpitalu... Pani Malinowska obżarta na amen, szef Piekutowski zapity w trupa, i ciocia Klocia i wujcio Misio, czarna małpa z rachuby i ruda z personalnego... Zawsze przyjemniej w doborowym gronie spędzać czas niż samotnie spełniać świąteczne toasty. Noblesse oblige.

Za rok nie powiedzą nawet marnego słowa, kiedy urwiemy się z pracy na rolmopsa, po różową szynkę, powianek kiełbasy i małą jodełkę tak pięknie pachnącą na targu.

BEGA

STANISŁAWA MARTINI — instruktor k.o. GKO w Jarosławiu. *Rys. J. SIENKIEWICZ*

Smutna rzeczywistość

Z przeprowadzonej w Austrii ankiety na temat czytelnictwa wynika, że połowa mieszkańców tego kraju nie czyta nawet jednej książki w ciągu roku, a 54 proc. obywateli z maturą czyta nie więcej niż jedną. Ministerstwo oświaty Austrii tłumaczy ten smutny stan wysoką ceną książek, z czym nie zgadza się prasa, wskazując na nikłe zainteresowanie bibliotekami publicznymi. (Kt-AR)

Pierwszy ogólnopolski konkurs gitarowy

Z inicjatywy Ludowego Instytutu Muzycznego w Łodzi zorganizowany został w tym mieście pierwszy ogólnopolski konkurs gitarowy. Zaprezentowało swe umiejętności 37 uczestników, amatorów, muzyków zawodowych i uczniów liceów muzycznych. Konkurs miał na celu popularyzację gry na tym instrumencie. Liczba muzyków - gitarzystów jest w stosunku do potrzeb szkolnictwa artystycznego i placówek upowszechniających muzykę wciąż jeszcze niedostateczna, mimo że w szkołach muzycznych Łodzi, Katowic, Wrocławia i Gdańska istnieją klasy gitar.

ZDARZENIA TYGODNIA

● *Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rzeszowie, zorganizowała 17 XII w Klubie Nauczyciela konferencję, w której uczestniczyli kierownicy pedagogicznych bibliotek z powiatów oraz aktyw sekcji bibliotekarskiej przy Zarządzie Okręgu ZNP. Obradom przewodniczył dyrektor PBW — mgr Marian Żuber.*

Dr Tadeusz Stanisz wygłosił prelekcję na temat pracy sekcji bibliotekarskich, mgr Elżbieta Taborska zreferowała nowy statut pedagogicznych bibliotek powiatowych, a mgr Maria Koś mówiła o współpracy pedagogicznych bibliotek powiatowych z bibliotekami szkolnymi.

W dyskusji zwrócono uwagę na dorobek i niedociągnięcia w działalności pedagogicznych bibliotek. Placówki te szczycą się coraz bogatszym księgozbiorem. Z każdym rokiem zwiększają liczbę czytelników. Ale większość wymienionych bibliotek mieści się w nieodpowiednich lokalach, w których nie ma również czytelni. Potrzeby pedagogicznych bibliotek nie zawsze są w pełni uwzględniane w budżetach rad narodowych. Wreszcie istnieją duże trudności w realizacji zakupów książek, a zwłaszcza niektórych lektur szkolnych.

● *Staraniem dyrekcji Wojewódzkiego Domu Kultury odbyło się szkolenie instruktorów bibliotek repertuarowych istniejących przy powiatowych domach kultury oraz powiatowych poradniach kulturalno-oświatowych. Mgr Jerzy Pleśniarowicz mówił o literaturze i dramaturgii radzieckiej, a Czesław Sądaj przedstawił repertuar muzyczny uwzględniający imprezy związane z obchodami 100 rocznicy urodzin W. I. Lenina.*

● *W Tarnobrzegu z okazji obchodów 25-lecia TPPR zorganizowano w świetlicy Tarnobrzeskiej Fabryki Obrabiarek imprezę, w której wzięli udział piosenkarze — amatorzy, wykonawcy radzieckich piosenek. Ogółem zgłosiło się 17 solistów. Komisja konkursowa wyróżniła następujące osoby: Janinę Nowak z Mielca, Martę Szczyrek i Józefa Biedronia z Sędziszowa, Martę Turek z Nowej Dęby i Jadwigę Sikorę z Gorzyc. Impreza wywołała w Tarnobrzegu i okolicy duże zainteresowanie.*

● *Licznie zebranej publiczności w sali Klubu MPiK w Rzeszowie bardzo podobał się wybór monologów sławnych kobiet w tragediach greckich recytowanych przez Barbarę Koziarską, aktorkę teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Imprezę prowadziła i słowem wiązała mgr Ewa Gren.*

Natomiast w kawiarni tegoż Klubu czynna jest wystawa fotografiki młodzieżowej — „Bieszczady 69". Specjalna komisja ocenia nadesłane prace, z których najlepsze przedstawi do nagrody.

● *W rzeszowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej na dwóch wydziałach filologicznych oraz matematyki, fizyki i wychowania technicznego studiuje 2 220 studentów, w tym ponad 800 na studiach zaocznych. Obecnie uczelnia zatrudnia więcej niż 200 pracowników, z których około 100 to kadra naukowo-dydaktyczna. Na uczelni jest 15 samodzielnych pracowników nauki. Mają oni do dyspozycji bogaty księgozbiór biblioteczny, liczący około 90 tysięcy woluminów. Są też dobrze wyposażone pracownie i laboratoria.*

◆ FILM ◆ FILM ◆ FILM ◆ FILM ◆ FILM ◆ FILM ◆ FILM ◆

KRONIKA FILMOWA
Nowy film polsko-radziecki

MOSKWA (rz). Reż. Sylwester Chęciński przystępuje do realizacji filmu „Marsz weselny", który nakręcony zostanie w koprodukcji polsko-radzieckiej.

Autorami scenariusza są Zbigniew Załuski i Walentin Jeżow (współtwórca słynnej „Ballady o żołnierzu"). W. Jeżow tak pisze o przyszłym filmie na łamach „Litieraturnej Gazety" — Będzie to opowieść o partyzantach, utrzymana w tonacji lirycznej. Troje naszych bohaterów to ludzie bardzo młodzi. Zarówno Polacy — chłopak i dziewczyna, jak też młody Rosjanin odkrywają dopiero świat. Wszystko jest dla nich nowe, i doświadczenie, jakie niesie życie, i pierwsza miłość i pierwsza śmierć, której są świadkami.

NOWE WERSJE

HOLLYWOOD (rz). Nakręcone są nowe wersje dwu słynnych filmów z lat trzydziestych i czterdziestych. Pierwszy z nich to „San Francisco", osnuty na tle historii katastrofalnego trzęsienia ziemi, które zniszczyło to miasto. Role, które grali wówczas Clark Gable i Jeanette McDonald odtwarzają obecnie James Garner i Barbara Streisand. Drugim znanym dziełem kinematografii, które doczeka się ponownej realizacji są „Wieczne powroty" wg Jean Cocteau. Zamiast Jean Marais i Madeleine Sologne grać mają Reanud Verley i Catherine Deneuve.

BUNUEL — AKTOREM

MEKSYK (rz). W filmie „Dziecko z portretu", który powstaje w koprodukcji hiszpańsko-meksykańskiej w głównej roli wystąpi słynna gwiazda z lat trzydziestych Dolores del Rio. Prawdziwą sensacją jest powierzenie jednej z ról znanemu reżyserowi Luisowi Bunuelowi.

SUKCESY „CYRKU"

NOWY JORK (rz). Chaplin odnosi stale sukcesy. Zrealizowany przezeń przed 40 laty, a ostatnio ponownie opracowany i udźwiękowiony film „Cyrk" bije rekordy powodzenia. W Zurychu idzie już od 9 tygodni w szczelnie wypełnionym kinie.

MARLON BRANDO — MUSSOLINIM

LONDYN (rz). Marlon Brando obejmie rolę Mussoliniego w filmie Terence Younga. Będzie to opowieść o życiu i „karierze" kochanki „Duce", Klary Petacci. Rodzina Mussoliniego podobno nie zgłasza zastrzeżeń w związku z realizacją tego filmu.

Z WINNICY MR HITCHCOCKA

NOWY JORK (rz). W Monterey w USA odbyła się degustacja różnych gatunków kalifornijskich win. Noszą one dość oryginalne nazwy: „Sherlock Holmes", „Edgar Wallace", „Agatha Christie", „Scotland Yard" i in. Wszystkie gatunki wyprodukowano z winogron pochodzących z winnic, których właścicielem jest Alfred Hitchcock.

WOLI BRYDŻ

NOWY JORK (rz). Słynny gwiazdor filmowy, Egipcjanin Omar Sharif („Noc generałów") oznajmił, że zrywa z zawodem aktora. Na pracę przed kamerą przeznacza jeszcze dwa lata, bowiem w 1971 r. będzie mieć już tyle pieniędzy, aby oddać się bez reszty ulubionemu brydżowi i wyścigom. Sądzi zresztą, że to „hobby" przynosić mu będzie nie mniejsze dochody niż gra w filmie.

NAJBARDZIEJ MĘSKI

PARYŻ (rz). Jeanne Moreau na konferencji prasowej przed premierą filmu „Monte Walsh" tak przedstawiła swego partnera, amerykańskiego aktora Lee Marvina: — Lee jest najbardziej męskim spośród wszystkich mężczyzn, z którymi dotychczas pracowałam. Słysząc to Marvin dodał: amen! (Kt-PAP)